Nr. 48. Lwów — Czwartek dnia 27 Lutego. Rok 1896.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . . 4 ct.
na Prowincyi . . . . . 6 „
Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zareczynach, ślubach, weselach, narodzeństwach, żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie opisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłate należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 2 „
tłustym garmondem po . . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce [illegible]
Reklamy . . . . . . [illegible]
Nekrologia . . . . . . [illegible]
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje BIURO DZIENNIKÓW ul. Karola Ludwika l. 5.

Dziś:	św. Aleksandra B.	Onysyma	Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.	Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.	Wschód słońca g. 6 m. 54	Długość dnia g. 10 m. 40
Jutro:	św. Leandra	Pamfyłyja			Zachód „ „ 5 „ 34	Przybyło dnia od wczoraj 2 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 26 lutego.

W świecie uczonych podniesiono starą i trudną do rozwiązania kwestyę, skąd pochodzą wspólni przodkowie wszystkich europejskich narodów? Między antropologami, archeologami i geologami powstał żywy spór, ciekawy samo przez się, a dla nas jeszcze i dlatego, że formalny przewrót w dotychczasowych zapatrywaniach na pochodzenie Europejczyków sprawił nasz uczony, piszący po francusku, p. Zaborowski. Dotąd uchodziło za prawdę naukową, że wszyscy jesteśmy Aryjczycy i że ci nasi praszczurowie wyszli w czasach przedhistorycznych z wyżyny Baktryjskiej, nazywanej dziś Pamirem, który leży na północny wschód od Afganistanu i tuż pod Hindukuszem tworzy osobny węzeł niedostępnych gór, — olbrzymich, odciętych od Chin i kirgizkich stepów przepaściami, a kryjących obszerne doliny. Ilekroć w nich stawało się ciasno Aryom, wychodzili oni na kirgizkie stepy i jako wojownicza horda szli coraz dalej na zachód ku morzu Kaspijskiemu, okrążali je od północnej strony i wchodzili na niezmierzone stepy dzisiejszej południowej Rosyi, gdzie przez wieki prowadzili żywot koczowniczy, pełny przygód, niebezpieczeństw i takich warunków istnienia, które musiały przekształcać tych nomadów w ludność lotną jak piasek pustyni, żądną ciągłych zmian, dziką, zdobywczą i okrutnie hardą, jak ci wszyscy Gotowie, Fejfalowie, Alanowie i Hunnowie, o których została pamięć z czasów wielkiej wędrówki narodów, kiedy te hordy szły ze wschodu na zachód wypierając Celtów, Greków i ludy italskie z ich odwiecznych siedzib. Starożytni Grecy znali coś niecoś o tych tajemniczych narodach, żyjących na północ od morza Czarnego, i nazywali ich raz Cymeryjczykami, to znów Scytami, którzy podług starogreckich świadectw — mówili dziewięcioma językami i byli prawie przyrośnięci do koni. W odstępach kilkowiekowych wychodziły hordy z Baktryi i popychały przed sobą tych, co już przedtem z niej wyszli, a wtedy owi szli z mieczem i ogniem na zachodnią i południową Europę. Tak po Ostrogotach, Longobardach, Alanach i Hunnach, którzy rozpadali się jeszcze na plemiona mniejsze o różnych nazwach, przyszli Bułgarzy, czyli Wołgarze, których część osiadła na Bałkanie, a część została nad Wołgą i dała nazwę tej rzece, później Madyarowie, jeszcze później tajemniczy lud Chazarów, a w końcu, już w wiekach średnich — Tatarzy. Według tej teoryi, nie sama Baktrya, lecz i sąsiadujące z nią mongolskie stepy wyrzucały na wschód europejski niektóre plemiona, ale to już było później i dlatego Chazarowie i Tatarzy, spotkawszy się z dość silną organizacyą państwową Polski i Rusi kijowskiej, skruszyli swoją moc o te państwa i zanikli. Tak głosiła ustalona teorya o aryjskiem pochodzeniu ludów Europy.

Pierwszy p. Zaborowski swą rozprawą w *Revue Scientifique* zakwestyonował tę teoryę. Powiada on wręcz: „Gdy czytamy, że przodkowie wszystkich Aryów tworzyli jedną rasę, mieszkającą pierwotnie w Baktryi, skąd wychodziły hordy i okrążywszy od północy morze Kaspijskie, rozlewały się zwolna po Europie, dając początek dzisiejszym Grekom, Włochom, Gallom, Germanom, Litwinom i Słowianom, to czytamy zupełną bajkę“.

Kto mówi tak stanowczo, ten zapewne posiada bardzo silne dowody. Jakoż p. Zaborowski podał ich mnóstwo i ważnych nietylko z dziedziny antropologicznej i archeologicznej, ale także geologicznej — a te ostatnie są zupełnie nowe, oparte na gruntownych badaniach geologów angielskich. Z badań tych wynika, że podczas „wielkiej lodowej epoki“, która bezpośrednio poprzedzała naszą epokę, znaczna część Europy pokryta była jednolitą skorupą lodową. Cała Anglia, północna część Francyi a stąd do gór kruszcowych i Karpat, dalej do Kijowa, później na wschód ku temu miejscu, gdzie dziś Niżni Nowogród, a potem jeszcze dalej do Uralu i za nim — wszystko na północ od tej linii, leżało pod jedną, ogromnie grubą bryłą lodu. Nie było ni ziem, ni rzek, ni mórz, tylko jeden nieprzerwany lodowiec, jak dziś w Grenlandyi, a w południowych częściach Europy już kwitło życie: Celtowie, należący do kamiennej epoki, prowadzili żywot myśliwski W owe czasy nie było żadnej lądowej drogi z Azyi do owej południowej Europy, która była raczej wyspą, bo morza Czarne i Kaspijskie, zasilane obficie wodą z owego lodowca, były bez porównania większe niż są dziś. Pierwsze z tych mórz zalewało całą Ukrainę i dzisiejszy step dońskl aż do Tambowa; drugie razem z Aralskiem tworzyło jeden zbiornik wody, której brzegi sięgały do tego miejsca, gdzie dziś Kazań, a od tego punktu zwracały się na wschód, obejmowały syberyjskie jezioro Balchasz i za niem łączyły się z morzem Lodowatem. Stwierdzają to badania zoologów, którzy wykazują, że liczne gatunki ryb i drobnych żyjątek morskich, właściwe dziś tylko morzu Lodowatemu, znajdują się także w morzu Kaspijskiem i tylko w niem jednem; stwierdzają to również badania geologów. Zatem między Baktryą a Europą była woda, nie było stepów po których koczowniczy Aryowie mogliby iść na zachód. Kiedy wielki lodowiec zaczął tajać od swych południowych brzegów i z pod niego jęły wychylać się mokre chłodne łąki, wówczas olbrzymi mamut, który mógł żyć na takich tylko pastwiskach, a był dla ludzi z kamiennej epoki głównym przedmiotem myśliwskich zabiegów, zaczął posuwać się z zachodu na wschód, za nim zaś szli myśliwi — i tak była wędrówka pierwszych mieszkańców Europy ku wschodowi, trop w trop za mamutami. Wykopaliska świadczą, że właśnie tak było i że się odbywało wzdłuż miejsc, świeżo odsłoniętych z pod lodu. Gdzie znajdują się ślady istnienia mamutów, tam również są ślady ludzi z kamiennej epoki. Gdzie pierwszych nie ma, tam i drugich daremnie szukano. Jedne i drugie znaleziono w północnych Niemczech, w górach Kruszcowych, w okolicy Kamieńca Podolskiego, w środkowej i północnej Rosyi, wreszcie na Syberyi, to jest wszędzie tam, skąd ustępował lodowiec, a powstawały mokre chłodne łąki; nie ma zaś na Ukrainie, na Zadnieprzu, gdzie natomiast są liczne pozostałości niegdyś podwodnego życia. Zatem Celtowie, którzy do dziś żyją w hiszpańskiej Baskii i Irlandyi, Litwini i Finnowie, rozpadający się na Estów, Liwów, Czukczów i Mordwów — to są najstarsi mieszkańcy Europy, którzy rozszerzali się po niej z zachodu na wschód. Wspólność dźwięków i form językowych, podobieństwo mitologii, wreszcie jednakowa budowa czaszek, a nadto takie same kształty kamiennych narzędzi, — wszystko to przemawia za wspólnością pochodzenia tych ludów.

Morza Kaspijskie i Czarne jeszcze przez długie wieki oddzielały Europę od Azyi. Z pod wielkiego lodowca już się wychyliła Anglia i całe Niemcy, i w nizinie nadwiślańskiej i nadniemeńskiej już się zieleniły łąki pośród olbrzymich jezior, które łączyły się z Baltykiem, i środkowa, potem i północna Rosya stała się lądem, a morze Kaspijskie jeszcze sięgało do Saratowa i z Aralskiem tworzyło jedność, zaś do morza Czarnego, sięgającego jeszcze do Krzemieńczyka, płynęły nader liczne i bardzo wodne rzeki, których ślady pozostały dotąd. Podczas silnego tajania lodów, rzeki te łączyły się w jedną wodnę powierzchnię, a gdy powódź ustępowała, zostawał grunt grząski, bezdenne trzęsawisko, na którem koczownicy żyć nie mogli. Długo i z wielką erudycyą, posługując się wynikami różnych nauk, dowodzi p. Zaborowski, że w owych czasach, kiedy były wielkie wędrówki narodów, step południowo-rosyjski zaledwo się zmieniał z morza wody w morze traw i zawsze jeszcze był oddzielony od środkowej Azyi olbrzymiem morzem Kaspijskiem. Równocześnie zaś dowodzi, że w tych czasach Baktrya, mająca na północ i zachód niezmierzony obszar wód zimnych, płynących z lodowca, a od południa oddzielona Hindukuszem, była krainą mniejszą niż dziś i tak zimną, że nie mogła sprzyjać ludzkiemu życiu w takim stopniu, iżby wciąż powstawał jego zbytek, który wylewał się i płynął na Europę.

Na tej podstawie wznawia p. Zaborowski starą hipotezę, którą uznawano do niego za bajkę, że Gotowie, Alanowie, Hunnowie i Słowianie, to jest ci właśnie, którzy stworzyli „wielką wędrówkę narodów“ pochodzili ze Skandynawii, dokąd o wiele przedtem dostali się z południowo zachodniej Europy, czyli, że są w gruncie rzeczy Celtami, albo — jeśli się komu podoba tak ich nazywać — Aryami, lecz nie przyszli oni z Azyi, a tylko przez bardzo długie wieki zrobili ogromne koło: z Hiszpanii i Francyi do Skandynawii, stamtąd ku dorzeczu Wisły, potem na podsychającą Ukrainę, a z niej znów ruszyli na Europę. — Gotowie pierwsi przekroczyli Dunaj, zdobyli Tracyę, Grecyę, potem Włochy, wdarli się do południowej Francyi i Hiszpanii; za nimi Feifalowie i Agafirsowie, których resztki są we francuskiem Poitou, za tymi znowu Alanowie, Germanie i t. d. Taki ruch z gęsto zaludnionej południowej Europy do Skandynawii odbył się zaraz po stajaniu wielkiego lodowca, kiedy wysoko podniesiona Norwegia i Szwecya prędko stały się dostępne dla ludzkiego życia. Ale to życie było jednak twarde, wyrobiło więc przez długie wieki lud hartowny, dziki, nawykły do strasznych walk z przyrodą, zatem wojowniczy. Ci Normanowie, dostawszy się przez ziemię dzisiejszej Polski i Litwy na ukraińskie stepy, znowu na nich przez długie wieki wykształcali się na surowe i herde koczownicze plemiona, które później zawojowały Europę. Tylko Awarowie, którzy w VII stuleciu rozpostarli się od Wołgi do Odry, a potem się cofnęli, tylko Bułgarzy, czy Wołgarze, którzy na półwysep bałkański przyszli w VI stuleciu, tylko Chazarowie, naród prawie tajemniczy (presque mystérieux, jak mówi p. Zaborowski), tylko Madyarzy, którzy się pojawili w VIII stuleciu, i wreszcie Tatarzy mogli przybyć z Azyi, ale i to nie okrążając od północy morza Kaspijskiego, lecz przez Kaukaz, a więc nie z Baktryi, lecz z Turańskiej wyżyny. Taka jest hipoteza p. Zaborowskiego.

W świecie uczonych sprawiła ona wielki efekt, zyskała licznych zwolenników, lecz także odezwali się obrońcy starej hipotezy o pochodzeniu narodów europejskich z Baktryi. Ci przytaczają opowieści rosyjskich i angielskich podróżników po Pamirze, którzy wykryli tam, w zapadłych dolinach, wymierające już plemiona Tadżywskie i Wachanieckie, tak podobne do ludów europejskich, że każdego Tadżywa lub Wachańca ubrać po naszemu, a będzie z niego typowy Niemiec, Anglik lub Słowianin. Dźwięki ich języka są te same, co dźwięki europejskich języków i te same niektóre obyczaje — co wszystko tembardziej uderza, iż dokoła mieszkają różne plemiona mongolskie, kirgiskie i turańskie.

My nie stajemy ani po jednej, ani po drugiej stronie; — to rzecz specyalistów; — chcieliśmy tylko zwrócić uwagę na bardzo ciekawą, podniesioną przez polskiego uczonego naukową kwestyę.

Ugoda z Węgrami. — Sprawy włoskie.

Piszą nam z Wiednia 25 lutego:

Kwestya odnowienia ugody finansowej z Węgrami coraz żywiej zajmuje Koła polityczne po obu stronach Litawy. Tutaj parlament, idąc za przykładem wszystkich sejmów krajowych, poprzestał na uchwaleniu rezolucyi, wzywającej rząd do wczesnego wypowiedzenia traktatu handlowego i celnego. Rezolucya ta in merito oznacza, że Austrya żąda zmiany dawnego traktatu na swą korzyść. Zresztą jednak Izba poselska zaniechała wszelkich roznamiętniających, a więc utrudniających układy, rozpraw. Sejm węgierski, a raczej, mówiąc ściślej, opozycyjne jego stronnictwa posuwają się o krok dalej. Skrajna lewica, która zasadniczo neguje ugodę r. 1867, w logicznej konsekwencyi swego stanowiska protestuje przeciwko wszelkim nowym układom. Opór jej przeciwko wybraniu deputacyi kwotowej, możnaby uważać jako całkiem normalny, gdyby go p. Ugron nie był wczoraj znowu uzasadniał naciąganemi argumentami. Radykalny trybun węgierski dopuszcza się rzeczywistego sofizmatu, gdy rokowania z Austryą czyni zawisłemi od parlamentarnego charakteru gabinetu wiedeńskiego. Gabinetowi dzisiejszemu nie można odmówić charakteru konstytucyjnego. Przedmiotowo więc insynuacya p. Ugrona jest nieuzasadniona, ale mniejsza o to. Właśnie bowiem stronnictwo niepodległości, które zasadniczo neguje ugodę r. 1867, nie ma żadnego prawa powoływać się na jej przepisy o potrzebie konstytucyjnych rządów w Austryi. Stronnictwo hr. Apponyi'ego nie odrzuca zasadniczo ugody r. 1867, ale pragnie ją „wydoskonalić“. W tym duchu hr. Apponyi wczoraj wniósł rezolucyę, wzywającą rząd, aby zawczasu uczynił kroki przygotowawcze celem ustanowienia odrębnego węgierskiego obszaru celnego, gdyby układy nie dopisały. Hr. Apponyi więc nie sprzeciwia się układom zasadniczo, jak Ugron, ale do swych kombinacyi wciąga już ewentualność zerwania celnej i handlowej jedności monarchii, a zatem posuwa się o krok dalej, niż rezolucya parlamentu austryackiego, która zalecała jedynie rokowania celem osiągnięcia korzystniejszego traktatu.

Z tej strony Litawy pendant taktyki Ugrona tworzy taktyka stronnictwa młodoczeskiego, które także systematycznie zwalcza ugodę austryacko-węgierską r. 1867. Trochę zbyt nieostrożnie zdradził tę taktykę p. Ferst na tutejszym zjeździe agrarnym. Sam fakt, że właśnie sekretarz praskiej Izby handlowej opiekuje się nibyto tak gorliwie interesami agrarnemi, mógł obudzić podejrzenie. Natychmiast poznał się na tych tendencyach młodoczeskich członek Zjazdu agrarnego prof. Milewski, odpowiadając, że Polacy pragną zabezpieczenia agrarnych interesów przy odnowieniu ugody, ale nie mieszają z nią politycznych zamysłów, nie są „separatystami“, nie dążą, jak p. Ferst i p. Ugron do zerwania ugody r. 1867, zabezpieczającej jedność monarchii. O ile dążności młodoczeskie wynikają nietylko z dawnego antagonizmu do Węgrów, lecz mają na oku także ekonomiczne względy, nietylko nie pozostają w zgodzie ze słusznemi agrarnemi interesami, lecz są z niemi sprzeczne. Czechy i te niemieckie prowincye, w których obecnie najwyraźniej zaznacza się chęć zerwania unii z Węgrami, są przeważnie przemysłowemi krajami, na prawdę w tych prowincyach interesa agrarne odgrywają rolę podrzędną. Gdyby zaś istotnie nastało zerwanie traktatu handlowego i celnego z Węgrami, natenczas Galicya, jeszcze więcej, niż dotąd, byłaby wyzyskiwana przez przemysł tych prowincyi zachodnich. Zwracając tymczasem uwagę na tę drugą kwestyę, nie sądzimy jednak, aby kakofonię teraźniejszej przygrywki do układów ugodowych trzeba brać zbyt seryo. Oba rządy szczerze pragną przeprowadzenia ugody, ta sama dążność zaznaczy się wyraźnie w deputacyach kwotowych obu parlamentów. Aczkolwiek więc obecnie kwestya odnowienia ugody bardziej roznamiętnia umysły po obu stronach Litawy, niż w latach 1877 i 1887, nie wynika stąd jeszcze, aby ta ważna sprawa istotnie miała w dalszym ciągu rokowań napotkać na nieprzezwyciężone trudności.

Aby zrozumieć pesymistyczne uwagi o wojnie abisyńskiej giełdowych dzienników, trzeba zwracać uwagę na ich rubrykę ekonomiczną, a wtedy dostrzeże się przyczynę owego pesymizmu. Renta włoska ciągle bowiem spada dzięki Menelikowi. Kto jednak wypadki wojenne nie sądzi wyłącznie z giełdowego stanowiska, ten nie ma żadnego powodu wątpić o utrzymaniu się Włochów przy zdobytej w roku zeszłym pozycyi w Abisynii. Pominąwszy okoliczności, że ostatnie ruchy wojska Menelika pono zapowiadają odwrót negusa ku Szoi, dotąd jen. Baratieri stoi w Adigracie, a zatem

Feljeton literacki.

Ks. Jan Badeni T. J.: „Między Słowianami“. Kraków, nakładem redakcyi *Przeglądu powszechnego*, 1896

W huculskie góry, w ojczyznę groźnego Dobosza, ponad rwące fale bystrego Prutu do galicyjskiej Pensylwanii, pomiędzy las wież wiertniczych, tam gdzie niedawno jeszcze nafta pędziła, jak potok górski po deszczach, przez dziewicze lasy puszcz Huculszczyzny wiedzie nas autor, aby wnet przewodniczyć nam w wędrówce po wystawie etnograficznej w Pradze, ztąd dalmackim brzegiem, przez ziemie, w których zielone mirty i cyprysy, czerwone pęki kwiecia, szafiry wód i lazury niebios w pełną, wspaniałą zlewają się harmonię, zaprowadzić nas do skalistego gniazda, wysoko ponad morskiem zwierciadłem zawieszonego, do ojczyzny dzikich synów Czarnogóry. Z południa przerzucamy się wprost na północ, ponad brzeg Sprewy, tam gdzie w zwycięskim boju walczyły z Niemcem hufce Chrobrego, hen — aż do Łużyc. Po drodze na chwilkę zatrzymujemy się w „Morawskiej Częstochowie“, w Hostyniu, przysłuchujemy się obradom katolickiego zjazdu w Bernie.

Oto w kilku słowach naszkicowana treść zbioru szkiców ks. Badeniego, zawierających wrażenia z wędrówek „Między Słowianami“. Tak samo jak w pierwszej seryi wydanej w r. 1893, w której prowadził czytelnika między Słoweńców, do Zagrzebia, nad serbski Dunaj i na Słowaczyznę, tak samo i w drugiej, o której dziś mówić będziemy, prowadzi nas autor po całym obszarze Słowiańszczyzny zachodniej od najdalszych jej krańców zachodnich aż na wschód, od północnych granic aż na dalekie południe.

Przypatrzmy się pierwszemu w rzędzie szkiców, zawierającemu wrażenia i przygody autora podczas wędrówki „w huculskich górach“. Piękna to kraina, piękna i urocza, a — wstyd przyznać — u nas tak mało znana i zwiedzana. Niezatarte wspomnienia zostawił mi kilkudniowy pobyt w górach nadwórniańskich w jesieni ubiegłego roku, te wyniosłe szczyty gór wznoszących się w łagodnie zaokrąglonych, niepoprzerywanych ostrymi kątami liniach, szczyty pokryte ciemną zielenią, odbijającą wspaniale od wznoszącego się nad niemi sklepienia niebios i od różnokolorowej szachownicy pól i łąk rozścielającej się u stóp gór, a połączonej z ciemną zielenią lasów łagodną, jaśniejszą zielonością połonin. Na tle przecudnej, wspaniałej, romantycznej scenery krajobrazu „żywy i prawdziwy“ hucuł w swym oryginalnym, malowniczym stroju, i hucułka niemniej malowniczo i barwnie i oryginalnie ubrana, po większej części ładna, choć z fajką w zębach albo z „cygarem“.

Lecz jak wszędzie w Galicyi, a nawet więcej jak wszędzie zajmują tu pierwsze miejsce obywatele wyznania mojżeszowego Pełno ich w wioskach, pełno w miasteczkach, ale najpełniej w dwóch rywalizujących ze sobą stolicach Pokucia: w Stanisławowie i w Kołomyi. Tak pierwsze jak drugie miasto, — powiada słusznie ks. Badeni — powinnoby sobie właściwie rościć pretensyę do tytułu: stolicy żydowskiej; tylu żydów, tak starożytnie przybranych, tak zacięcie i głośno popisujących się swym szwargotem, znajdziesz chyba na słynnym po świecie całym krakowskim „Kazimierzu“. Tylko, że tutaj nie wzięli oni jednego przedmieścia, jednej czy kilku ulic w wyłączne swe posiadanie; całe miasto zalane potopem czarnych jarmułek, długich szarawych pończoch, podziurawionych pantofli...

Pomijając znakomity choć w ogólnych tylko zarysach naszkicowany obraz ruchu na polu utworzenia prasy prowincyonalnej w Stanisławowie i Kołomyi i obraz żwawej i energicznej agitacyi radykałów ruskich, która na Pokuciu coraz to szersze grono zwolenników pozyskuje pomiędzy włościanami, obraz, który się streścić nie da, udajmy się wraz z autorem do Peczeniżyna, tej galicyjskiej Pensylwanii, galicyjskiego Baku, udajmy się do Słobody rungurskiej. Oryginalna to osada; mimowoli na pierwszy już rzut oka przychodzi na myśl Ameryka, jej miasta powstające z błyskawiczną szybkością wśród dziewiczych lasów, złożone raczej z fabrycznych kominów niż z mieszkalnych domów. Dołem płynie strumień, poprzecinany kilku kładkami, bo o mostach myśleć nie ma czasu, nie ma interesu; ku strumieniowi nachylają się z obu stron w mnóstwo nieforemnych wypukłości wyrzeźbione wzgórza, zajmujące kilkudziesięciomorgową przestrzeń, na nich las wież wiertniczych; tuż za nim dziewiczy bór rozciągający się daleko, jak okiem sięgnie. Do lasu przypierają na stokach gór malowniczo rozpostarte pańskie wille, szlacheckie dworki, ubogie chałupki, szałasy. Za jedną z najgustowniejszych will wynurza się z leśnej zieleni mała, ale miła kapliczka, krzyż na wieżyczce błyska i błogosławi nieprzerwanemu ruchowi, ciągłej pracy u stóp swoich.

Z dziejami Słobody, nierozerwalnie łączy się nazwisko znane daleko po za granicami naszego kraju, nazwisko człowieka, którego jedni bardzo wysoko podnoszą, który u drugich spotyka się z niczem nieuzasadnioną niechęcią, prowadzącą do takich środków walki jak oszczerstwo i potwarz, — człowieka, którego mało kto zdołał ocenić objektywnie i słusznie, z którego poglądami można się zgadzać lub nie zgadzać, ale uznać trzeba zawsze, że usiłowania jego są bezinteresowne, nie dla zadowolnienia własnych ambicyi, ale li tylko dla dobra kraju podjęte.

W Słobodzie od lat kilkudziesięciu szukano nafty, znajdowano po trosze i z kolei zniechęcano się do dalszych poszukiwań. Wreszcie w r. 1880 znalazł się pionier odważny i gorący jak Polak prawdziwy, wytrwały jak mieszkaniec Anglii, w której się uczył i ćwiczył. Umiejętnie, po angielsku, zabrał się do dzieła. Od chwili wystąpienia Stanisława Szczepanowskiego, datuje się era rozwoju Słobody. Nieszczęściem polskie kapitały nie mogły, czy nie śmiały udzielić dostatecznego poparcia rozwiniętemu od razu na wielką skalę przedsiębiorstwu. Trzeba się było zwrócić do obcych i pozwolić cudzoziemcom czerpać w otwierających się skarbach, — przybył bez szeląga przy duszy Mac Garvey i został wielomilionowym panem, przybyli Kanadyjczycy, Francuzi, Anglicy i opuszczali kraj po kilku latach z trzosem bogato naładowanym. Nafta lała się strumieniami, zdawało się wielu, że się tak lać będzie bez końca, a jednak strumienie te płyną coraz to powolniej, i kto wie, czy długo jeszcze płynąć będą...

Z Słobody do Delatyna droga idzie przez lasy, nietknięte prawie dłonią ludzką. To już Huculszczyzna prawdziwa, kraj zamieszkały przez lud rosły, silny, piękny. Skąd się tu wzięli Huculi? Na to pytanie dotąd odpowiedzi nie ma. Być może, że kto co zawinił na polskiej, czy na węgierskiej stronie, czy w dalszych krajach, kto się lękał ludzkiej zemsty lub sprawiedliwości, komu pokoju nie dawała żądza awantur, krwi, rozboju, ten — szedł w te góry, pewny bezkarności, pewny, że nikt nim przewodzić nie będzie, trochę rozbijał, trochę pracował na roli i bydło hodował, z opryszkami się bratał, a na starość w spokoju siedział w chacie. Dziś opryszków już nie ma, o Doboszu i zbójach, tylko wspomina podanie i pieśń, a potomkowie tych odważnych „łeginiów“ upadają coraz niżej moralnie i materyalnie. Karczem żydowskich bez liku. Niedawne jeszcze czasy, kiedy „gazda“ co garncami mierzył talary, a setkami miał bydła na połoninie rzadkością nie był. Dziś jest zaledwie kilku, których majątek cenią na kilkadziesiąt tysięcy guldenów. Niezmierne obszary pól i połonin przeszły już w znacznej części w ręce żydów. Żyd brał bogatego, starego Hucuła na całkowite utrzymanie, dawał mu przez lat parę jeść i pić, ile żądał, a rozpoiwszy go i przyspieszywszy przez to śmierć, zagarnął, mocą zawartej poprzednio, urzędowej umowy cały jego majątek. Dla Huculszczyzny równouprawnienie żydów stało się ciosem śmiertelnym, spowodowało upadek ludu i kto wie, czy nie zupełną jego zagładę. Jeżeli tak potrwa dalej, huculskie góry staną się żydowskiem królestwem, Huculi żydowskimi niewolnikami. Chyba, że odezwie się w nich krew Doboszów! Ale dziś każdy dzień przynosi nowy wyłom w stanie posiadania pramieszkańców tej ziemi, nowy postęp w kierunku ujemnym. A piękny to lud, bogato uposażony pod każdym względem. Dla czego nie poszedł i nie idzie inną drogą? Zdaje się dla tego, że żyd dotarł do niego prędzej od oświaty, prędzej od kościoła.

To, co powiedział przed laty kilkudziesięciu ks. Karol Antoniewicz, a co powtarza za nim autor, da się zastosować dziś do każdej wsi huculskiej: „Skały najeżone dokoła, kilka potoków wszerz i wzdłuż, i w prawo i w lewo krzyżują się i szumią i huczą i pienią i gniewają się, to znowu pokornie liżą stopy tych skał; kilka chałup huculskich, jak gniazda orle zawieszonych po górach, — to niby wieś, niby obóz koczujących pielgrzymów, co przez puszczę świata ciągną do nieba w pośród łez i boleści, bo na łzach, nędzach i boleściach tu nie zbywa. Bieda, głód, choroby dziwnie sobie tę okolicę upodobały i komorą zamieszkały w tych chatach huculskich..“

Smutno się robi po przeczytaniu pierwszego w rzędzie szkiców ks. Badeniego, tem smutniej każdemu, kto zna ten kraj piękny. A jednak o pomocy dla jego mieszkańców dotąd nie pomyślał nikt.

Opuszczamy streszczenie wędrówki po huculskich górach, wędrówki opisanej znakomicie z tem humorystycznem zacięciem, które i uśmiech wywołuje i westchnienie, że niestety tak jest, a nie inaczej; że tyle trudów, chociaż dających się z humorem opisać, ale nie dających się zawsze z humorem przecierpieć, znosić musi ten, kto chce zwiedzić kraj nasz, leżący przecież w Europie.

Podążmy za autorem do „morawskiej Częstochowy“ do Hostynia, na wielki odpust w kapliczce Matki Bożej. Do maleńkiej kapliczki na jednej z gór otaczających Bystrzycę, ciągną niekończącym się wężem gromadki kobiet, mężczyzn i dzieci. Malownicza to procesya, ale nie po samych strojach ciągnących nią Hanaków, Słowaków, Wołochów, niemieckich kolonistów pozna każdy, że nie nasza, polska. U nas w dzień odpustu drogi „kompaniami“ zapełnione rozbrzmiewają pobożnymi śpiewami, tu tłumy poruszają się w milczeniu, czasem tylko słychać półgłosem odszeptywane modlitwy. Ale i tu dłużej zatrzymać się nie możemy, choćby dlatego, że piękny szkic ks. Badeniego musielibyśmy dosłownie przepisać. Czas w dalszą drogę na „katolicki zjazd w Bernie“.

Wspaniała to była uroczystość, tem wspanialsza, że odbyła się w mieście głośnem z walk pomiędzy niemiecką a czeską ludnością, w głównem centrum niemieckiego liberalizmu, w „najukochańszem mieście“ Józefa II-go, starającem się utrzymać jak najwierniej Józefińskie tradycye. Urzędowe i nieurzędowe Berno zaparło się wszelkiej łączności z katolickim zjazdem, nie wyświadczając mu najzwyklejszych, ogólnym kodeksem cywilizowanego świata przy podo-

od grudnia r. z. nie cofnął się ani o kilka kilometrów. Dwie trzecie części Tigry tem samem znajdują się pod panowaniem Włochów. Zważywszy, że przygotowywana przez cały rok (za pomocą pieniędzy francuskich i rosyjskich) wyprawa Menelika miała na celu wyparcie Włochów z Tigry, i że jeszcze w miesiąc po ewakuacyi Makali Menelik znajduje się równie daleko od Adigratu, jak przed dwoma miesiącami, niepodobna twierdzić, aby wojna, chociaż dotąd jen. Baratieri nie otrzymał sposobności odniesienia świetnego zwycięstwa, była wzięła obrót niekorzystny, a cóż dopiero rozpaczliwy dla Włochów!

Korespondencye.

Wiedeń 23 lutego.

(Szósty wiec rolników austryackich).

Przed kilku dniami odbył się tu wiec rolników austryackich. Stanowisko wybitne wielu uczestników wiecu, chwila ciężkiej walki o byt w rolnictwie, na którą przypada zebranie się wiecu, znaczenie, które sam rząd przypisuje tym obradom, a które otwarcie przyznał im minister rolnictwa, wszystko to więcej niż kiedykolwiek dawniej zwróciło winno uwagę szerszych warstw na przebieg posiedzeń i wynik obrad wiecu. Dziś nad innemi kwestyami góruje kwestya ugody z Węgrami. W ramach tej kwestyi poruszały się też głównie wnioski i żądania stawiane dotychczas na wiecu. Delegat czeskiej rady kultury krajowej dr. Ferst domagał się nawet wprost granicy celnej między Węgrami a Austryą, która umożebniłaby rolnikom austryackim konkurencyę z węgierskimi i wskazywał na unię Szwecyi z Norwegą, istniejącą na warunkach także linii celnej. Przykład podany przez p. dr. Fersta nie bardzo jest nęcący. Węgry i Austrya całkiem inne mają stanowisko w Europie, jak Skandynawia, całkiem też inne położenie geograficzne. Austro-Węgry muszą wszelkiemi siłami, a nawet z ciężkiemi nieraz ofiarami ekonomicznemi (z jednej i drugiej strony) swej jedności na zewnątrz bronić. Czy ta jedność nie ucierpiałaby w opinii Europy po wprowadzeniu takich nowości, jak granica celna, to wielkie pytanie, na które z tak lekkiem sercem jak p. Ferst odpowiedzieć nie można. A zresztą wniosek ten dlatego stoi w sprzeczności z traktatami handlowymi, obowiązującymi aż do roku 1903.

Po tym terminie dopiero możnaby podobne innowacye zaprowadzić. Wiec też jednogłośnie sprzeciwił się temu wnioskowi, a tem postępowaniem wyraził wielką dojrzałość polityczną i umiarkowanie. Tem bardziej podnoszą się głosy przeciw Węgrom i systematycznej polityce gospodarczej, dążącej tam do upośledzenia Austryi na każdym kroku. Granica celna objąć ma całą monarchię, a dowóz i wywóz z Węgier i do Węgier ma być wolnym. Nie wynika stąd jednak, żeby rząd węgierski miał prawo ułatwieniami celnemi, jak przy sprowadzaniu zboża na mąkę, zadawać cios po ciosie i młynarzom słabszym ekonomicznie w Austryi i całemu rolnictwu austryackiemu; nie wynika też stąd, żeby polityka taryfowa za Litawą wprost godziła na możliwość łatwej wymiany towarów obu państw monarchii, aby bank wspólny poddać miano wyłącznie niemal wpływom węgierskim, aby naturalny rozwój handlu zbożowego wypaczono spekulacyami giełdowemi, mającemi swe źródło i główny punkt oparcia w Budapeszcie, aby do ciężarów wspólnych nie przyczyniano się ze strony Węgier w miarę dochodów i słuszności, lecz jedynie w celu wyzyskiwania Austryi.

Hrabia Attems oblicza, że Austrya w ciągu lat 30 (od r. 1867) zapłaciła więcej, niż w stosunku do sił swych ekonomicznych do Węgier płacić winna była, z jakich 400 milionów złr. Obliczenie to jest raczej skromne, niż przesadne. Czterysta milionów odjętych szkolnictwu, budowie dróg, urządzaniu stacyi doświadczalnych, [illegible] udzielaniu [illegible] i wsparć różnym — jakże wielka to pozycya bierna w gospodarstwie Austryi! Nie należy się dziwić, że Węgrzy rozwijać się mogą i rozwijają, wiedząc, gdy polityczną reprezentacyę zagraniczną, [illegible] konsulaty, ambasady, flota wojenna i armia opłacaną bywa głównie przez Austryę! Węgry cieszą się wszelkiemi dogodnościami pierwszorzędnego mocarstwa bez żadnego [illegible] płacąc. Referent dr. Kaiser proponuje rozłożyć kwotę w stosunku 55–45, a już co najwyżej w stosunku 60–40.

Sądzimy jednak, że taka szeroka granica wynosząca aż 5 proc., jest za wielka, gdyż każdy procent rośnie tu w miliony guldenów. Zresztą takie dowolne stawianie stosunku, przyczem zrzuca się na korzyść jednej lub drugiej strony kilka czy kilkanaście milionów, jest bardzo niebezpieczne i mogłoby Węgrów wprawić w zachwyt.

Jak już nieraz w *Przeglądzie* wywodzono, najnaturalniejszem byłoby obciążenie Węgier w stosunku 43–57. Ale oczywiście ze względów politycznych i nie mogąc tak wielkiego podwyższenia wydatków węgierskich odrazu wywalczyć, Austrya będzie musiała się zgodzić i na mniejszą sumę. Co przez trzydzieści lat zaniedbano, nie da się naprawić odrazu. Austrya musi dążyć powoli do zupełnego zrównania ciężarów wspólnych w obu państwach, jak Węgry też wszędzie dążą do zupełnego zrównania sił swych ekonomicznych z siłami Austryi. Równa zamożność — równe ciężary, zdrowy rozwój wszystkich gałęzi produkcyi przed i za Litawą to ideał polityczny w tym względzie.

Tymczasem zatrważający upadek produkcyi rolniczej w Austryi, a ogromny wzrost przemysłu w Węgrzech grozi zbliżeniem zrównania ekonomicznego obu państw w wręcz innem znaczeniu. Węgry rozwijają się, Austrya ciężkie przechodzi przesilenia — równość w nieszczęsny sposób przyspieszona.

Wiec rolników bardzo silnie zaznaczył stanowisko swoje w kwestyach trapiących dziś rolnictwo. Niechby bank austro-węgierski nie był instytutem węgierskim, lecz państwowym. Bank musi też uwzględniać potrzeby kredytu rolniczego, a jeśli w organizacyi swej dzisiejszej tego wykonać nie jest w stanie, to oddział hipoteczny [illegible] osobny „państwowy bank hipoteczny“.

Wiec zastanawiał się też i nad stopą procentową długów ciążących na ziemi. Polecano stworzenie zakładów krajowych, a istniejące już zakłady powinny starać się o umożliwienie konwersyi długów na $3^1/_2$%-owe listy zastawne. W tym celu banki hipoteczne za pośrednictwem kas Raiffeisenowskich mają wejść w stosunki z małymi rolnikami i wydawać listy zastawne po 100 koron. Dziś, przy wypowiedzeniu długu ze strony dłużnika, bank żąda prowizyi. Prowizye te mają być zniesione. Nadto powinno się [illegible] przeprowadzeniem konwersyi swych długów w chwili stosownej (według wniosku prof. Leona z Krakowa) ułatwić tani kredyt. Jest to oczywiście warunek konieczny konwersyi hipotecznych długów, aby inne obligacye publiczne nie opłacały wysokiego procentu.

Z innych żądań podnieść jeszcze wypada, ograniczenie spekulacyi giełd zbożowych, dopuszczenie sędziów rolniczych do zarządu tych giełd, zaprowadzenie monopolu w handlu solą, a w kwestyi ugody z Węgrami wyrażono żądanie bardzo ważne i słuszne, aby dochody z cel rozdzielane były w miarę konsumcyi towarów sprowadzanych z zagranicy w obu państwach.

Z izby sądowej.

Stanisławów 24 lutego.

(Rabini przed sądem).

Po odczytaniu aktu oskarżenia przystąpiono do przesłuchania obwinionych. Pierwszego przesłuchano Izaaka Horowitza, rabina stanisławowskiego, który oświadcza, że nie jest winnym. Zakaz wydał na podstawie ogólnej opinii, że fabryka lisowiecka jest własnością żyda. W sprawie tej byli u niego raz Goldfeld i Liebermann, ale on im nie dowierzał i zakaz wydał [illegible]. Jako rabin był obowiązany [illegible]. Rytuał nakazuje rabinom o stanie rzeczy się przekonać i w miarę tego postąpić. To też przekonany oryginalnym kontraktem, [illegible] odwołał. Szkodą, jaką fabryka poniosła, szacuje na 30 złr.

Następnie zeznawał drugi oskarżony rabin, Saul Horowitz z Tyśmienicy, który powołuje się na [illegible] fabryka lisowiecka [illegible] poświadczające, że drożdże lisowieckie nietylko są koszerne, ale koszerniejsze aniżeli wszystkie inne. Pismo Gottesmanna i zapewnienie, że Neuman nie jest wspólnikiem Orłowskiego wzbudziło w rabinie tyśmienickim pewne wątpliwości co do tego właśnie faktu. Wobec pogłosek wręcz przeciwnych, szczególnie zaś z powodu tantyemy wysokiej, jaką kontrakt Neumanowi zapewniał, uważał go nie za sługę, ale za wspólnika Orłowskiego. Dlatego też i zakaz używania drożdży wydał. Na pytanie przewodniczącego, które osoby donosiły mu o istnieniu spółki między Neumannem a Orłowskim, wskazać ich nie umie. Upiera się przy twierdzeniu, że Neumann był „szytyf“ (wspólnikiem) Orłowskiego. Sprawę odwołania zakazu przedstawić się stara jako w myśl nauk talmudu, jasną i prostą, albowiem pomimo, że uważał Neumanna jako wspólnika Orłowskiego, to wierni zakupywali i używali właśnie drożdży z tej części fabryki, która była własnością Orłowskiego, a nie Neumanna, co do których zatem nie zachodziła potrzeba sporządzania „starmachira“ (kontraktu sprzedaży).

Z kolei przesłuchano Filipa Liebermanna właściciela fabryki drożdży i spirytusu w Tyśmienicy, który twierdzi, że nie miał żadnego interesu w żądaniu od rabinów wydania zakazu, jego fabryka bowiem jest gospodarczą gorzelnią i może tylko ograniczoną ilość drożdży produkować. Był co prawda u rabina, ale w prywatnym interesie i zastał tam Goldfelda. Obaj z rabinem radzili właśnie nad drukowanem świadectwem Gottesmanna, rabina z Ułaszkowiec. Jak przyszło do drukowania odezw rabinów, nie wie. Co do skutków, jakie one za sobą pociągnęły, szkody wyrządzonej fabryce Orłowskiego ocenić nie umie, sądzi, że straty nie przenosiły cyfry 20 zr. dziennie.

Oskarżony Isaak Goldfeld, współwłaściciel fabryki spirytusu i drożdży w Knihyninie pod Stanisławowem, którego prokuratorya pomawia o odegranie w tej całej machinacyi głównej roli, także o odezwie rabinów o jej powstaniu i źródle nic nie wie. Dowiedział się o niej dopiero gdy była wydrukowana. Twierdzi dalej, że zupełnie mu na drożdżach ani fabryce Orłowskiego nie zależało. wyrabia bowiem inny gatunek drożdży, nie miał więc interesu w staraniu się u rabinów o wydanie zakazów. Drukowaniem odezw rabinackich się nie zajmował, tylko Meisels. Szkody, jaka z powodu ogłoszenia i rozesłania tych odezw dla Orłowskiego wynikła, oznaczyć nie umie. Powtarza wciąż, że fabryka lisowiecka konkurencyi mu nie robiła. Rodzina Goldfelda złożyła w trzecie ręce 5000 złr. kaucyi tytułem odszkodowania na rzecz Orłowskiego, twierdzono bowiem, że Orłowski odstąpi od skargi, gdy odszkodowanie złożone zostanie. Goldfeld nie chce jednak o tem nic wiedzieć i żadnego odszkodowania z swojej kieszeni dawać nie chce.

Frokurator p. Hinze przypomina oskarżonemu, że się szczególnie interesował rozsyłaniem odezw rabinów i jak to wynika z zeznań, złożonych w śledztwie, kazał tych kartek zakupić za guldena, celem rozesłania ich do swoich odbiorców. Goldfeld zeznaniom teraz przeczy.

Na popołudniowej rozprawie odczytano zeznania zmarłego nagle w roku zeszłym Filipa Neumanna, dyrektora fabryki Orłowskiego, tylekrotnie w rozprawie wspomnianego. Neumann zeznał, że zostawał w stosunku służbowym do Orłowskiego. Jako winnych wydania odezw, które tyle szkody fabryce lisowieckiej wyrządziły, wskazuje Goldfelda i Liebermanna, których mu jako sprawców wskazał rabin stanisławowski. Za złożeniem 15 złr. „za stracony czas“, uzyskał od rabina stanisławowskiego — a za cenę 10 złr. od tyśmienickiego — odwołanie klątwy.

Oskarżeni Goldfeld i obaj rabini zaprzeczają zeznaniom zmarłego Neumanna.

Pierwszym świadkiem w tej rozprawie jest p. Wincenty Cygenberg **Orłowski**, wł. dóbr na Podolu. Na fabryce drożdży w Lisowcach wyszedł najgorzej, bo najpierw zachwiały byt fabryki — choć tylko chwilowo — odezwy rabinów, potem zaś umarł nagle Neumann, dusza przedsiębiorstwa, a wreszcie 21 kwietnia 1895 o godz. 8 wieczorem cała fabryka, z niewiadomych przyczyn, spaliła się do szczętu, przez co świadek poniósł szkodę jakich 150.000 zł. Z zeznań tego świadka wynika, że Neumann zostawał do niego wyłącznie w stosunku służbowym. Jako sprawców klątwy rabinów na jego fabrykę wymienił Neumann świadkowi Goldfelda i Liebermanna, którzy fałszywie rzecz rabinom przedstawili. Wysokości szkody, spowodowanej przez odezwę, nie umie oznaczyć, był bowiem wówczas chory, a wszystkiem zajmował się Neumann. Możnaby dojść tego z ksiąg rachunkowych. Fabryka wskutek odezw rabinów stała 20 dni. Neumann prowadził układy z Goldfeldem i Liebermannem o odszkodowanie. Ostatecznie stanęła umowa pomiędzy Neumannem a rodziną Goldfelda, że ta złożyła 5000 zł. w trzecie ręce jako odszkodowanie dla świadka na wypadek uwolnienia Goldfelda od winy. O Neumanie wyraża się świadek przychylnie.

Neumann zwierzył się świadkowi, że zastrzegł dla siebie u Regenstreifa (wspólnika Goldfelda) 2000 zł. na wypadek uwolnienia Goldfelda, wobec tego oświadcza obrońca Goldfelda adw. dr. D. Fischler, że Neumann zastrzegł sobie 4000 zł.

Świadek Regenstreif zeznaje, że imieniem rodziny Goldfelda prowadził z Neumanem układy co do ewentualnego odszkodowania Orłowskiego, Neumann miał u Orłowskiego czynić zabiegi o uwolnienie Goldfelda z więzienia śledczego.

Przewodniczący: Pan temu, jako człowiek inteligentny, mógł dać wiarę, żeby to było w mocy p. Orłowskiego?

Świadek: Tak sądziłem.

Przew.: To dziwne!

Świadek: Neumann żądał 25.000 zł., skończyło się na 5000, jeżeli Goldfeld zostanie uwolniony w pierwszej instancyi. To była umowa pisemna, ustnie zaś umówiono, że Neumann będzie się starał uwolnić Goldfelda z więzienia śledczego. Neumann dostał za te zabiegi 1000 zł., a 2000 miał otrzymać z depozytu. Świadek nie sądził, że y miało przyjść do rozprawy i mniemał, że sprawa zostanie załatwioną ugodowo. Świadek sądzi, że straty fabryki nie mogą być znaczne, bo zamówienia na drożdże w czasie świątecznym są tak wielkie, że żadna fabryka w kraju podołać im nie może; gdyby zatem nawet i część zamówień zwrócono, to jeszcze fabryka miała dużo zajęcia. Fabryka lisowiecka wcale konkurencyi nie robiła fabryce Goldfelda i Regenstreifa, bo jak się świadek wyraża z dumą — „kto potrzebuje atłasu, nie będzie kupował sukna“.

Bardzo ciekawe są zeznania następnego świadka Josla Gottesmanna, rabina z Ułaszkowiec, który oświadcza, że kontraktu pomiędzy Orłowskim a Neumanem nie czytał sam, bo po niemiecku nie umie, czytał mu go Neumann. Kontrakt nosił napis: *Dienstvertrag*. Na podstawie tej, jakoteż z powodu, że Neumann kaucyę miał złożoną u Orłowskiego, powziął rabin przekonanie, że stosunek obu był służbowy, zresztą wiedziała o tem cała okolica. W poświadczeniu wydanem Neumanowi wyraził się istotnie, że drożdże lisowieckie są „koszerniejsze“ aniżeli z innych fabryk. Potwierdza, że za fatygę został honorowany, jakoteż, że pozwolił na drukowanie swego poświadczenia. Wywiązała się następnie długa kwestya nad tem, co talmud powiedziałby o Neumannie czy był on *szytyf* (wspólnikiem) Orłowskiego czy nie. Świadek twierdzi, że nie, na co oskarżeni rabini podnoszą szmer głośny. Pomiędzy rabinami wywiązuje się dysputa, której oczywiście nikt nie rozumie.

Wobec tego dr. Löwenstein imieniem obrony stawia wniosek następującej treści: „Wobec tego, że »starmahira« jest przepisem czysto rytualnym, a zatem sprawa tylko według zasad talmudyczno rabinackich rozstrzygniętą być może, przeto dla wyjaśnienia jej, jako dla rzeczy zasadniczej w toczącym się procesie, wnoszę, ażeby wezwać jako rzeczoznawcę dra filozofii rabina Caro, albo nawet starszego rabina Szmelkesa ze Lwowa, którzyby nam powiedzieli, czem jest »starmahira«, kiedy według przepisów rytualnych jest wymaganą, i czy w tym właśnie wypadku była wymaganą.“

Prokurator zasadniczo temu wnioskowi się nie sprzeciwia; ze względu jednak na to, że w aktach złożona jest opinia kolegium rabinackiego w Wiedniu, sądzi, że ta jest zupełnie wystarczającą. Opinia ta zostanie odczytaną. Dr. L. obstaje przy swoim wniosku z uwagi na to, że procedura nasza jest ustną, a wezwany telegraficznie dr. Caro niewątpliwie jutro do rozprawy stanie.

Trybunał udał się na naradę, rozprawę zaś odroczono do dnia następnego.

* * *

Lwów 25 lutego.

(Dziecko złodziejem).

Przed sądem przysięgłym stawała małoletnia dziewczynka Paulina Smolij, obwiniona o kradzież. Była ona niańką u pp. Warachimów w Hołosku i ukradła im, jak twierdzi akt oskarżenia, 1000 złr.

Zastraszone dziecko nie umie dać dokładnych wyjaśnień i gmatwa się w odpowiedziach, obrońca jednak dr. Kraus potrafił z zeznań świadków wysnuć przyczyny tak szczególnego przestępstwa. Według tego okazuje się że lubiący dobrze żyć ojciec i macocha Paulinki, rozkazali jej wziąć pieniądze, jeśli je gdzie u pracodawców znajdzie. Pieniądze znaleziono u Smolijów, brakowało tylko 10 zł.

Na zapytanie przewodniczącego: „Czy to macocha namawiała cię do kradzieży?“ — odpowiedziała Paulinka: „Nie mogę źle mówić“.

Po półtoragodzinnej obronie dra Krausa przysięgli wydali werdykt, na podstawie którego sąd uwolnił zupełnie od winy Paulinę Smolij, natomiast ojca jej skazał na półtora roku ciężkiego więzienia, macochę zaś na sześć miesięcy.

KRONIKA.

Lwów 26 lutego.

Odznaczenie. Krzyż kawalerski orderu Franciszka Józefa otrzymał Józef Gładyszowski, gr. kat. proboszcz w Drogomyślu.

Pięciowiekowy jubileusz odnowienia uniwersytetu jagiellońskiego. Celem godnego uczczenia tej drogiej dla Polski rocznicy, która przypada na koniec bieżącego stulecia, wybrał senat akademicki uniwersytetu krakowskiego komisyę literacką, zajmującą się przygotowaniem wydawnictw, które się ukażą w roku 1900, a odnosić się będą do historyi uniwersytetu. Oprócz tego wybrał senat osobną komisyę jubileuszową, tudzież zaprosił profesorów i docentów uniwersytetu do udziału w subskrypcyi na cele zamierzonego obchodu. Termin obchodu zostanie później oznaczony.

Nagrody dla pań. W niedzielę 1 marca odbędzie się na Stawach Panieńskich premiowanie Pań za piękne i wyszczególniające się ślizganie na łyżwach. Nagrody stanowią pamiątkowe medale z szlachetnego kruszcu. Podczas ślizgawki przygrywać będą kapele wojskowe i fanfarami oznajmią każde wręczenie medalu. W razie niesprzyjającej pogody premiowanie to odłożone zostanie do najbliższej niedzieli (8go marca).

Zapis ś. p. Konstantego Kmity, obywatela ze Żmudzi, który cały swój majątek zapisał w równych częściach na rzecz Akademii umiejętności w Krakowie i gimnazyum cieszyńskiego, został zrealizowany w kwocie 22.836 rubli. Onegdaj wręczył sekretarz generalny Akademii dr. Stanisław Smolka sekretarzowi Macierzy szkolnej w Cieszynie ks. Londzinowi połowę legatu wynoszącą 14.543 zł. $62^1/_2$ ct.

Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych. W sali fizyki szkoły realnej odbył się 22 lutego odczyt prof. Kunstmanna na temat: „Czy teraźniejsze podręczniki do nauki języka niemieckiego w naszych gimnazyach mogą być powodem przeciążania uczniów“. Prelegent podzieliwszy wszystkie teraźniejsze podręczniki na trzy działy, zaliczył do pierwszego książki dla klasy I i II, do drugiego dla klasy III, IV i V, a do trzeciego książki VI, VII i VIII klasy. Oceniając wartość i znaczenie każdego podręcznika, zaznaczył prelegent, że książki do pierwszego działu należące odpowiadają swojemu celowi, a i książki drugiego działu dadzą się z małymi odmianami użyć korzystnie przy nauce tego języka w tych klasach. Wystąpił jednak przeciw książkom trzeciego działu, jako mniej celowi swemu odpowiadającym, zaznaczając, że są one dla uczniów za trudne, bo w ustępach odnoszących się do literatury napisane są stylem ciężkim i trudnym, a ustępy do lektury przeznaczone nie są stosownie dobrane.

W dyskusyi, którą dr. Janner swem dłuższem i bardzo trafnem przemówieniem rozpoczął, roztrząsali dość licznie zebrani członkowie Towarzystwa wartość poszczególnych książek, dostosajając się mniej więcej do uwag przez prelegenta poczynionych.

Podnieść jednak należy bardzo trafne uwagi prof. dra Danysza, który stanowi cenny nabytek dla gimnazyów lwowskich i dla naszej wszechnicy. Twierdził on, że książki dla klasy I i II dość względnie, może nawet za optymistycznie przez prelegenta przedstawione zostały; są one bowiem w przeważnej części takim stylem napisane, jakim zwykle pisze cudzoziemiec, który sadzi się i na styl najczęściej nienaturalny i na dobór rzadko używanych wyrazów; przytaczał też wyrazy, o których, jak twierdził, w całej literaturze niemieckiej zaledwie raz może gdzie znajdzie się wzmianka; konstatował też, że on, dość wiekowy i długoletni nauczyciel, wiele tam takich znalazł wyrazów, o których przedtem nigdy nie słyszał i dopiero teraz, ucząc na podstawie tych książek, z nich sam uczyć się musiał.

Prof. Ciliński zauważył, że szczególnie przy nauce języków nie tak chodzi o podręczniki, jak raczej o zdolnych i rutynowanych nauczycieli tych przedmiotów; przeto żale i skargi, jakie pochodzą ze strony uczniów i publiczności dotyczą tylko młodych i niedoświadczonych jeszcze nauczycieli, gdyż starsi potrafią dobrze uczyć nawet na najlichszych podręcznikach; jak to całkiem słusznie powiedział

---

bnych zebraniach nakazanych gospodarczych. Połączyli się z Niemcami Młodoczesi, stanęli tylko katolicy czescy, duchowieństwo i część narodowa arystokracya oraz reprezentanci pobratymczych słowiańskich narodów i stanęli w potężnej falandze. Szkic ks. Badeniego bardzo zajmujący, przedstawia znakomicie wrażenia, jakie na każdym uczestniku pozostawić musiał, jakie tembardziej uczynić musiał na Polaku, nasuwając mu ciągle na myśl porównanie z tem co jest u nas, a czego u nas nie ma....

Te same porównania nasuwa następujący z kolei opis „wystawy etnograficznej w Pradze“, nieograniczający się na samą tylko etnografię, ale obejmujący wszystko co na tej wystawie widzieć i czego się tam nauczyć było można. Pociągają mnie ku sobie trzy ostatnie szkice ks. Badeniego. przedewszystkiem przepyszny opis podróży „dalmackim brzegiem“, od Zadaru do Kotaru.

Różne, bardzo różne ludy rozbijały w Dalmacyi kolejno swe namioty; rozciągały swe zagony aż do ostatnich południowych granic i znów, ustępując nowej zaborczej nawale, zwolna się cofały; próbując z nią walczyć, zwolna się w niej roztapiały. Starych Illiryjczyków, których niepewne dzieje giną w mgle wieków, wyparły zwycięskie rzymskie orły; Agryppa, Tyberyusz, Germanikus zdobywali w mozolnych walkach kolejno wawrzyny, urządzali kraj na rzymską modłę. Po Rzymianach przyszli Goci, po nich Awarowie, niszcząc ogniem i mieczem, co dało się zniszczyć, dokazując prawdziwych cudów w sztuce burzenia. W połowie siódmego wieku nadpłynęła od Karpat nowa fala horwacko-serbska i tej już żadna inna za dalmackie brzegi nie potrafiła wyrzucić. Niemała to rzecz, bo wojna szła po wojnie, burza ścigała burzę. Węgierscy królowie, weneccy dożowie, wezyrowie tureccy, bośniaccy banowie, korsarze, rycerze, śmiali awanturnicy ze wszystkich części świata, zawijali do dalmackich portów, głosili się „królami“, „dożami“, „samowładzcami“ Dalmacyi i znów jak przypłynęli, odpływali, zostawiając po sobie miejsce mężniejszym i szczęśliwszym.

Historya wiekowych tych, wewnętrznych i zewnętrznych burz, wypisana ruinami świątyń, pałaców, miast, co gęsto rozsypane po całej Dalmacyi, najlepiej opowiadają, czem kraj ten kiedyś był, czem mógłby być, gdyby [illegible]. Każda epoka: prehistoryczna, grecko-illiryjska, węgiersko-słowiańska, wenecka, zapisała się swemi ruinami, często ruinami ruin. Kto lubi się po ruinach błąkać, marzyć wśród nich, ten [illegible] w Zadarze, Kninie, Salonie, lata spędzić. Jest o czem marzyć, jest nad czem się zadumać. Płynęła fala po fali, wieków, pokoleń:

> Widocznych śladów mało,
> Po każdej pozostało.
> I dumne jej zamysły
> Odparte w swoim pędzie,
> Przez ostrze skał krawędzie,
> Jak piana nagle prysły.
>
> A przecież siła żywa
> Wiążąca ich ogniwa,
> Przez długie lat koleje,
> Z pokoleń w pokolenia,
> Ludzkości postać zmienia
> I rzeźbi świata dzieje.

Prowadzi nas autor w Zarze do kościoła św. Donata, do wielkiej, ciężkiej, obrośniętej bluszczem baszty, otoczonej wokoło nowożytnemi budowlami. Wieków dwadzieścia temu za czasów Augusta stać tu miała pogańska świątynia poświęcona cesarskiej żonie Liwii Auguście. Pod koniec ósmego wieku wystawił ówczesny biskup zadarski, osobisty przyjaciel i doradzca Karola Wielkiego i greckiego cesarza Nicefora, Donat III na gruzach pogańskiej świątyni, chrześciański kościół. Do budowy wzięto zamiast zwyczajnych kamieni: kolumn, łuków, kapitelów, architrawów z dawnej świątyni, a prawdopodobnie i z wielu innych świątyń czy pałaców rzymskiej Jadery. Kościół składał się jakby z dwóch piątr, dwóch kościołów: dolnego i górnego, w pierwszym gromadzili się i modlili wierni, już ochrzczeni, w drugim katechumeni. Roku 1798 rząd austryacki przekształcił kościół w wojskowy magazyn. Dziś rzymska, pogańska świątynia, chrześciański kościół, magazyn wojskowy przemienił się — w archeologiczne muzeum.

Z wędrówki po kościołach i muzeach prowadzi nas autor nad brzeg morski, opowiada o słynym *maraschino di Zara*, aby zatrzymać się w redakcyi dwóch pism katolicko-narodowo-słowiańskiej *Katolička Dalmacija* i radykalno-słowiańskiego *Narodni*'ego *List*'u, i naszkicować wyrazistymi rysami stosunki polityczne i dziennikarskie w nadmorskim kraju. Oba te pisma w pierwszej linii walczyć muszą przeciw wspólnemu wrogowi, przeciw Niemcom, Włochom, Serbom, a dopiero w wolniejszej chwili puścić mogą wodze dziennikarskiej i partyjnej animozyi. Oba stronnictwa dążą wespół z chorwackimi i słoweńskimi patryotami do założenia trójjedynego królestwa, które obok Austryi i Węgier stanęłoby, jako pod berłem Habsburgów zjednoczone południowo-słowiańskie państwo. Tego domaga się ich zdaniem interes cesarstwa i dynastyi. Serbowie i Włosi połączeni ze sobą zaufania budzić nie mogą. Jedni, prawosławni, zwracają wzrok ku Cetynii, drudzy ku drugiemu brzegowi Adryatyku, jedni tylko dalmatyńscy Słowianie, Chorwaci i Słoweńcy mają w tem naturalny interes aby żyć i rozwijać się pod berłem Habsburgów. Ale rząd nie pozwala Słowianom wypłynąć na plan pierwszy.

Z Zadaru do Kninu, tam gdzie przed dziesięciu wiekami wznosiły się kościoły, stały pałace chorwackich królów, knińskich biskupów, gdzie dziś skromne tylko miasteczko, uroczo położone. Szumiące wody Kerki półpierścieniem górę i miasteczko objęły; odbijają dyamentowym błyskiem od tem milszych, że rzadszych tutaj zielonych gaików. Zatrzymajmy się w dyoklecyańskim pałacu w starym Splicie, zajmującym przestrzeń 35.000 metrów kwadratowych. Naokoło pałacu biegł wysoki, na dwa metry szeroki mur, cztery bramy: złota, srebrna, żelazna i spiżowa wyglądały na cztery strony świata. Srebrną, morską bramą wychodził Dyoklecyan ze szczupłym orszakiem na brzeg morski, zażyć wieczornego chłodu, przyjrzeć się goniącym się łodziom; może pomyśleć o szybko mknącym czasie, co jak te łodzie płynie, znika; może czasem wstrząsnąć się na przesuwający się przed okiem duszy obraz morza krwi niewinnej, chrześciańskiej, przelanej rzekomo w imię interesu państwa.

Za złotą bramą szła rozkosznymi ogrodami droga do Salony. Dyoklecyanowe rumaki musiały przestrzeń dzielącą cesarski pałac od Salony—Solina, przebiegać w kwadransie, szeroką drogą, przecinającą śnieżną linią spuszczające się lekko w dół oliwne, pomarańczowe gaje. Solin to miasto umarłych, dalmacka Pompei, przed wiekami, za rzymskich czasów miasto potężne, bogate, otoczone murem o 88 wieżach, w XVII wieku kupa gruzów.

W dalszej wędrówce przybywamy do dalmackiej Wenecyi, do Dubrownika-Raguzy, a po drodze wstępujemy do rajskiej Lakromy. Znał się nieszczęśliwy, tak krótko swe monarsze berło dzierżący cesarz Meksyku na pięknościach przyrody. Umiał najpiękniejsze obrazy, jakich dostarcza przyroda, oprawiać w najpiękniejsze ramy, o jakich sztuka zamarzyć może. Spoglądające na morze z tryesteńskich skał Miramare przenosi w zaczarowane krainy, ale Lacroma to siedziba idealniejszych, potężniejszych czarodziejek. Przez długie wieki gospodarowali tu pracowici Benedyktyni. Spienione bałwany wyrzuciły na jej brzegi Ryszarda Lwie Serce; bohater krzyżowych wojen wywdzięczając się Bogu za cudowne ocalenie, zbudował katedrę w Dubrowniku. Maksymilian przemienił dawny klasztor w przecudny pałac, oliwkowe plantacye, piaszczyste wertepy, nagie skały w przecudny wspaniały ogród; chciał uczynić z Lacromy raj, w którym nie przeczuwając tragicznego końca, spędził najszczęśliwsze w życiu chwile z swą ukochaną Charlottą po dziś dzień wegetującą, bez świadomości tego, co się w około niej dzieje, ofiarą Juareza i Lopeza. Później w tym raju spędzał miodowe miesiące arcyksiążę Rudolf z Stefanią, o tyle nieszczęśliwszą od tamtej, że straszny cios nie pozbawił jej świadomości minionych dni. Maksymilian — Rudolf... Błąkają się ich cienie wśród palmowych alei, różanych dywanów zaścielających mury; błąkają się wspomnienia tragicznych ich dziejów po bogatych korytarzach klasztoru-pałacu. Wśród tych bogactw, w tych królewskich, tak dziś pustych, cichych salach, w tych hesperyjskich ogrodach dziwne robią wrażenie białe habity Dominikanów, dzisiejszych gospodarzów Lacromy. Cesarz Franciszek Józef oddał przed trzema laty Dominikanom maksymilianową rudolfową Lacromę, pod warunkiem, że modlić się będą za dawnych, nieszczęśliwych jej panów...

Nie czas zatrzymywać się dłużej w Lacromie, ominąć musimy Raguzę i Kotar, w których autor dłużej się zatrzymuje; czas podążyć do Czarnogóry wężowatą regularnym zygzakiem biegnącą drogą, jak przez Cyklopów w skale wybitą do zawieszonego na górszczytach gniazda dzielnych, czarnogórskich junaków — do Cetynii.

Niedaleko od granicy, zamiast komory, zamiast celników, czarnogórska karczma. W ostatniej austryackiej karczmie figurował na ścianie portret *Franja Josipa*; tu w gościnnej izbie na pierwszem miejscu paraduje portret cara, obok niego tuli się kontrefekt czarnogórskiego księcia. Kto porozsypywał carskie wizerunki, których wszędzie tu pełno? Czy przychodzą one w bezpłatnym dodatku do nadsyłanych z Petersburga banknotów; czy cetyński rząd z wdzięczności za nadsyłane banknoty sam je zakupuje? To pewna, że zaledwie się przejedzie kamyczkową granicę, ma się wrażenie, jakby się wjechało do lennej co najmniej własności, do hołdowniczego księstwa, do pewnego rodzaju ekspozytury rosyjskiego carstwa. Zresztą, czy dziwić się tym portretom, tej czci i pewnego rodzaju miłości, która otacza tu Rosyę i wszystko, co rosyjskie? Z Rosyi, z Petersburga, płyną pieniądze, chleb, książki; a pieniędzy brak wielki, zboża mało, rokrocznie setki i tysiące górali głodem przymiera; bez petersburskich książek byłaby książka w czarnogórskich osadach niedościgłą rzadkością. Wielka Rosya uznała w księciu czarnogórskich skał „jedynego swego przyjaciela“; jego dzieci na swój koszt w swych szkołach wychowuje; jego żądania, pretensye popiera swą powagą. A w dodatku do tych materyalnych węzłów ileż łączy się moralnych? ile wspólnych nadziei, ile wspólnego apetytu na jak najszybsze pożarcie wspólnej nieprzyjaciółki Turcyi. Wielka Rosya potężniejszy ma apetyt i oczywiście na większy kąsek czyha; mniejsza Czarnogóra skromniejsza w pretensyach. A wie dobrze, iż o zaspokojeniu apetytu tego, bez pozwolenia przyjaciela z nad Newy, nawet marzyć niewolno. Jakże takiemu przyjacielowi nie służyć, jakże małemi grzecznościami za wielkie się odwdzięczając

jeden uczony Jezuita, gdy twierdził, że nawet na brewiarzu potrafi dobrze nauczyć łaciny.

Żałować należy, że na zebranie to nie przybył autor wspomnianych podręczników p. dr. Ludomił Germann, inspektor krajowy, który skorzystawszy z bardzo cennych uwag fachowych nauczycieli i licznie zebranych germanistów, mógłby bez trudu wielkiego nowe sporządzić wydanie swych w każdym razie bardzo cennych podręczników szkolnych, które o całe niebo przewyższają wszystkie poprzednie, a szczególnie suche i nędzne podręczniki szkolne zmarłego niedawno dra Janoty.

Leon Ciliński.

Transakcye kupna i sprzedaży zawarte we Lwowie w styczniu 1896: Jan i Maryanna Muszyńscy nabyli od Józefa Liptaya realność przy ul św. Teresy za 4600 zł., Aleksander Domaszewicz od Jana i Antoniego Brunarskich i Wik. Chmielowskiej realność przy ul. Zielonej za 6.000 zł., Wanda Rzepecka od Jak. Lewina i Sary Sprecher dom przy ul. Grodeckiej za 24500 zł., Michalina Müller od gal. Banku kredytowego dom przy ul. Kopernika za 14.500 zł., Ludwik Kraus od Emila i Maryi Kozińskich dom przy ul. Świętokrzyskiej za 6.500 zł., Bernard Hirt od Andrzeja Gołąba dom przy ul. Łyczakowskiej za 35.000 zł. Samuel Bodek od Nuchima Günsberga dom przy ul. Kochanowskiego za 9.866 zł., Zofia Fränkel od Józefy i Antoniny Pendiuk realność przy ul. Kaleczej l. 6 za 44.050 zł.

Ze Skałatu nam piszą: Przeczytawszy korespondencyę zacnego kapłana z Gorycyi, opisującą przykrą dolę wychodźców galicyjskich na granicy włoskiej, doznałem wrażenia, iż może ludzie nieznający tutejszych stosunków sądzą, że włościanom za mało perswaduje się w kraju, jak smutny los czeka ich na wychodźtwie. Tak wszelako nie jest Tak samo jak w Gorycyi nie uwierzyli życzliwemu im kapłanowi tak i tutaj chłopi nie wierzą nikomu, kto im odradza puszczać się za morze. Jedynym środkiem na to byłby zwrot kilku partyi z powrotem. I na to także zgodzić się nie mogę, że jedynym powodem emigracyi do Brazylii jest nędza i brak zarobku. Może są okolice przepełnione, ale więcej jest takich okolic, w których panuje wielki brak robotnika i służby. Cały prawie powiat skałacki sprowadza ludzi na żniwa, gdyż swoich ma za mało. Chłop emigruje do Brazylii nie z braku zarobku, lecz za gruntem, gdyż każdy chciałby zostać gospodarzem lekko, bez pracy, i żyć bez troski. Przed trzema laty rozeszła się pogłoska, że w Rosyi dają grunt zadarmo, całe obejścia po Niemcach, a nawet do tego w beczkach słoninę i ser w faskach Co to był za ruch! ale nie zarobkiem, lecz za gruntem i za gotowem dobrem jadłem. U nas w Skałackiem często kartofle przepadają, bo ich nie ma komu wyrwać z ziemi; ale za to na jarmarkach nie brak nikogo. Topki soli chłop nie kupi w domu, bo o centa droższa; dla oszczędzenia nibyto jednego centa woli cały dzień stracić, a sól w mieście kupić. Jeszcze niech Sejm uchwali zniesienie rogatek, ażeby chłop miał za co wypić, gdy do miasta przyjedzie, a już wtedy, to naprawdę nikt w domu robotą się nie zajmie, tylko wszystko siedzieć będzie na jarmarkach i urządzać wiece.

Mianowania. *Wiener Zeitung* ogłasza następujące nominacye: Koncepista w ministeryum rolnictwa Zaleski mianowany sekretarzem Namiestnictwa, zastępca prokuratora we Lwowie Dr. Stebelski mianowany prokuratorem w Samborze, zastępca prokuratora Oleński mianowany zastępcą nadprokuratora, zastępcami prokuratorów mianowani adjunkci: Dobrzański z Drohobycza do Tarnopola, Etenberger ze Stanisławowa w tem samem mieście a Miłaszewski ze Lwowa do Złoczowa. Do Lwowa przeniesieni zastępcy prokuratora Gorlicki z Tarnopola i Kilian ze Stanisławowa.

Turniej bilardowy rozgrywa się w sali hotelu de France we Wiedniu między wiedeńskim mistrzem Kaufmanem a monachijskim szampionem Treborem. Turniej ten potrwa trzy dni, każdy z przeciwników ma zrobić 2000 punktów, a zwycięzcą będzie ten, kto w ciągu całej partyi wskutek zgubnych „sztosów" grę swoją przerwać będzie zmuszony, czyli będzie miał mniejszą liczbę seryi. Dotychczas Trebor jest górą; jego największa serya wynosiła 107 punktów, podczas gdy Kaufmann zdołał zrobić „od sztosu" zaledwie 56 punktów.

Podobny turniej rozegrał się także niedawno w akademii bilardowej w Berlinie między bilardzistami Kerkauem i Woerzem i skończył się zwycięstwem pierwszego, który prześcignął przeciwnika o 1173 punktów, pomimo, iż dał mu for 2000 punktów. Kerkau robił „od sztosu" od 221 do 337 punktów.

Ze Stryja donoszą: Od kilku dni bawi tu trupa operetkowa pod dyrekcyą pani Kliszewskiej: byłej artystki teatrów warszawskich. Przedstawienia tej trupy cieszą się wielkiem powodzeniem. Z artystów wyróżnili się sama pani Kliszewska, której ofiarowano wieniec laurowy i bukiet, tudzież pp. Lewicz, Celiński i Jasiński.

Choroby umysłowe u dzieci. *Gaz. Lekarska* zdaje sprawę z ciekawej książki H. Conradsa p. t. „Choroby umysłowe u dzieci". Statystyka chorób umysłowych u dzieci w okresie dojrzewania z wielu względów jest trudną, a więc i niedokładną, poprzestać trzeba na cyfrach wziętych ze szpitali Próbowano zebrać odpowiednie dane przy spisach ludności, ale praktyka nauczyła, że rodzice zwykle tają choroby swych dzieci, zwłaszcza dziewcząt. Najważniejszą z przyczyn chorób umysłowych jest dziedziczność, a następnie wychowanie. Ważny ten ustęp polecamy uwadze rodziców i wychowawców.

„Wychowanie, tak zbyt pobłażliwe, jak i zbyt surowe, a głównie zmuszające zbyt wcześnie dzieci do życia niezdrowem życiem dorosłych, sprzyja powstawaniu chorób umysłowych. Na wpływ szkoły zwrócił już Piotr Frank (r. 1804) uwagę; dziś uważać należy, że dzieci duchowo mało odporne nie powinny wspólnie ze zdrowemi się uczyć; inne wymagania i inny system są dla nich niezbędne. Zdrowego duchowo dziecka przeciążenie szkolne do psychozy nie doprowadzi, jednakże „werbalizm," sztuka wpajania w mózgi uczniowskie wielkiej liczby faktów, imion, cyfr, w nauczaniu dziś panujący, jest wielkiem złem i odbija się ujemnie na zdrowiu duchowem dzieci. Motywy psychiczne, jak: bojaźń, uczucie wstydu, zmartwienie, zgryzoty, tęsknota, przestrach, sprzyjają powstawaniu chorób umysłowych".

Pomijamy całą definicyę chorób nerwowych, jako zbyt dla nas specyalną. Główne miejsce zajmuje tu epilepsya, histerya, pląsawica, melancholia, hypokondrya, gadatliwość, swawola, hałaśliwość, szukanie samotności, zaduma i wreszcie t. zw. braki duchowe, jak: głupowatość, idyotyzm i kretynizm. Również często spotyka się t. zw. *moral insanity*, zboczenie prawie zawsze na gruncie dziedzicznym powstające. Główną jego cechą jest nadmierny egoizm i zboczenie uczuć. Zdolności umysłowe są zwykle upośledzone (więcej chytrości niż rozumu). Jako środki zapobiegawcze, autor zaleca:

„1) Powstrzymanie osób umysłowo osłabionych od wstępowania w związki małżeńskie. 2) Walka z alkoholizmem. 3) Wstrzymywanie się nowożeńców od libacyi na uczcie weselnej (pierwsze dziecko). 4) Pilne wychowanie dzieci: mamka niech nie pije; dziecka nie „wzmacniać" winem; zwracać uwagę na ruchy onanistyczne już u najmniejszych dzieci; nie straszyć dzieci „strachami"; nie rozwijać zdolności umysłowych przedwcześnie. Wychowawcy (rodzice i nauczyciele) wiedzieć powinni o możności istnienia chorób umysłowych (różnego natężenia) u dzieci".

Zmarli. W Krakowie zmarł Stanisław Woyneko Tomkiewicz, artysta malarz, znany także chlubnie z swych prac na polu publicystyki i poezyi, licząc lat 41. Domicela z Jagielskich Jartyniowa umarła w Jabłonicy ruskiej.

Stan powietrza. T. o 9 rano — 6° R., w poł. — 2° R. Bar. 770. Spada., Pochmurno. Wicher wschodni.

Adwokatom, rzecznikom, oratorom wszelkiego rodzaju i innym Demostenesom, z obrotności języka słynącym, ku nauce i przestrodze faktów, z historyi Sparty zaczerpniętych, kilkoro:

Młody spartańczyk wyjechał do odległych krain, aby tam ćwiczyć się w krasomówstwie; gdy powrócił, eforowie nałożyli nań karę, jako na człowieka, który ćwiczył się w sztuce „obełgiwania" swoich współobywateli.

W czasie wojny peloponezkiej spartanin pewien wysłany był do satrapy Tissaferna w poselstwie. A gdy Tissafernes zaczął mu mydlić oczy krasomówstwem, spartanin w odpowiedzi narysował kredą na czarnym marmurze dwie linie, jedną krętą, drugą prostą, i rzekł:

— Wybieraj!

Kiedyś znowu mieszkańcy jednej z wysp morza Egejskiego, znękani głodem, udali się w poselstwie do Lacedemończyków. Ci ostatni po wysłuchaniu oracyi poselstwa rzekli:

— Nie zrozumieliśmy końca waszej przemowy, bośmy zapomnieli początku.

Wówczas jeden z członków poselstwa wziął do ręki pusty worek od mąki, a wskazując nań, wyrzekł jedno słowo:

— Głód!..

A Lacedemończycy na to:

— Oto wymowa przekonywująca!

I posłali na ogłodzoną wyspę na morzu Egejskiem moc mąki, wina i oliwek...

Z teatru. Dziś we środę po raz czwarty „Hanusia", senne marzenie w 3 odsłonach G. Hauptmana. Jutro we czwartek „Hugenoci", wielka opera w 4 aktach Mayerbeera. Występ panny Maryi De Nunzio.

Korespondencya Redakcyi. *Prenumerator w Tuchowie.* Zapatrywanie Pańskie jest zupełnie słuszne. Gdyby ów niekatolik kupując grunt od katolika nie był się zobowiązał kontraktowo do uiszczania należytości konkurencyjnej, wówczas nie potrzebowałby jej opłacać, skoro jednak w kontrakcie wyraźnie przyjął na się obowiązek opłacania tej należytości, musi ją płacić.

Głosy publiczności.

W nrze 33 *Przeglądu* z dnia 9 bm. ogłoszono podziękowanie radnemu miasta Lwowa Wmu Jonaszowi z tytułu wprowadzić się mających zmian w wykonywaniu przemysłu kominiarskiego, które na posiedzeniu Świetnej Rady z inicyatywy Wgo Jonasza podniesiono.

Jakkolwiek jesteśmy wielce zobowiązani za orędownictwo w naszej sprawie, mającej posłuch u Świetnej Rady król. stoł. miasta Lwowa, nie braliśmy o tyle w tem podziękowaniu udziału, o ile to odnosiło się do okoliczności kłamliwie naprowadzonych przez podpisaną starszą czeladź kominiarską, jakoby obecny sposób wykonywania robót kominiarskich był dla P. T. Publiczności wyzyskiem, dla nas czeladzi. nie za wiedzą i wolą podpisanych, krzywdzącym.

— Podniesienie publiczne sprawy w tej treści należy uważać za interes zaledwie kilku z ogólnego grona starszej czeladzi kominiarskiej i jako autorów wspomnianego podziękowania, którzy żywiąc nadzieję otrzymania koncesyi z tytułu wprowadzonej reformy, uważają drogę wolnej konkurencyi z kreowanemi stanowiskami majstrów za właściwszą dla swoich celów, obojętni zresztą o uczciwe zamiary w interesie Wnych Właścicieli realności w mieście Lwowie i dobro reszty pracującej czeladzi.

Prawne przełożeństwo towarzyszy kominiarskich.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 24 lutego.

(*Z.*) Dziś oczekiwano ogłoszenia dywidendy węgierskiego Zakładu kredytowego. Od rana już krążyły na ten temat niepokojące wersye, mówiono mianowicie, że dywidenda będzie o 2 zł. niższa, niż w ubiegłym roku, a prawdopodobieństwa dodawały tym pogłoskom znaczne sprzedaże węgierskich akcyi kredytowych, uskuteczniane na rachunek Pesztu. Mdła tendencya, jaka zapanowała od pierwszej chwili otwarcia targu, wzmogła się w dalszym ciągu jeszcze bardziej pod wpływem dalszego znacznego spadku renty włoskiej na giełdach zagranicznych. W ostatniej dopiero chwili zmieniła się sytuacya na lepsze. Z Pesztu doniesiono, że dywidenda węgierskiego Zakładu kredytowego wynosi tyle co w ubiegłym roku, t. j. 22 zł a i renta włoska także poprawiła się w kursie. Mimo to jednak większą część walorów zamknięto niższymi kursami i dopiero w wieczornym prywatnym obrocie poprawiły się one. Dobre wrażenie wywarła wiadomość, że grupa Rotszyldowska wysprzedała już ostatnią partyę austryackiej renty złotej, którą objęła w lutym r. 1895. W ten sposób państwo ma już wrzekomo wszystkie fundusze na wykupno swych not.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 381·10, węgierskie 420·—, Anglobanki 172·90, Uniony 315·—, Bankvereiny 146·50, Länderbanki 255·75, Ludwiki 221·40, Czerniowieckie 295·75, Elbethale 282·—, Renta papierowa 100·95, srebrna 101·—, austryacka złota 121·65, austr. renta wal. kor. 101·40, węgierska złota 122·15, węgierska renta wal. kor. 99·10, dukat 5·65, 20-frankówka 9·57—, marki 11·77, ruble 1·28¼.

§ **Z targu na bydło.** Wiedeń 24 lutego. Na dzisiejszy targ dowieziono wołów galicyjskich 931, węgierskich 3509 i niemieckich 764, razem 5204 sztuk. Płacono za woły galicyjskie lichsze lekkie 30 do 32, dobre ciężkie 33 do 34, osobliwe wyjątkowo 35 do 37 zł., za buhaje i krowy 20 do 30 zł. wszystko na wagę żywą.

Teodor Romaszkan, Wassergasse 23.

§ **Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.** Kraków 25 lutego.

Targ dzisiejszy odbył się w usposobieniu spokojnem, przy małych bardzo obrotach, gdyż właściciele zboża nie mogli z kupującymi dojść do porozumienia. Ostatecznie nieliczne obroty jakie miały miejsce, odbywały się na podstawie cen zeszłotygodniowych, tylko rzepak znacznie poszedł w górę.

Płacono pszenicę białą: 7·60 do 7·85; czerwoną 7·55 do 7·80 złr.; żółtą 7·55 do 7·80 złr., żyto 6·75 do 7·00, jęczmień browarny 6·— do 6·70 złr.; na paszę 5·35 do 5·75 złr.; owies 5·75 do 6·15 złr.; — wykę —·— do —·— złr.; rzepak 9·50 do 9·70 złr. Wszystko za 100 kilogramów.

Bank galicyjski dla handlu i przemysłu.

§ **Sprawozdanie z targu zbożowego.** Podwołoczyska 24 lutego.

Zarówno zaofiarowanie, jak też i popyt za pszenicą i żytem są mierne, wskutek czego produkta te tylko po zniżonych cenach znaleźć mogły odbiorców. Stosunkowo najsilniejszy popyt jest jeszcze o artykuły pastewne, zwłaszcza o celny owies, którego cena poszła znacznie w górę. Konicz czerwony i mak niebieski również więcej poszukiwane jak dotychczas. Za zboże krajowe płacono: Pszenica 7.10—7.40, żyto 5.70—5.95, jęczmień 4.25 do 4.60, groch Wiktorya 6.— do 7.—, groch do gotowania (Kocherbse) 5.00—6.—, owies, którego brak silnie odczuwać się daje, 5.20—5.50, rzepak 7.— do 8.—, rzyj 5.— do 6.—, konicz czerwony 20.00—40.— za 100 kilogramów netto loco Podwołoczyska.

Dowozy zboża rosyjskiego nieznaczne. Przybyło po jednym wagonie owsa, otrębów pszennych i kukurudzy i 2 wagony grochu. Za zboże rosyjskie płacono: Pszenica 5.50—5.90, żyto 4.00—4.30, jęczmień 4.00—4.50, owies 4.45—4.80, proso 4.50 do 4.85, groch biały 4.60—5.50, kukurudza 3.75 do 4.15, kukurudza (cinquantin) 4.55—4.80, siemię lniane 8.10 do 9.20, siemię konopne 7.55—8.—, mak niebieski 11.— do 12.75, konicz czerwony 28.— do 42.— za 100 kilogramów netto, transito, t. j. bez cła, loco Podwołoczyska, częścią w worach, częścią w stanie wysypanym (alla rinfusa).

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 26 lutego. (*Rada państwa*). W dalszym toku debaty nad budżetem ministerstwa oświaty, skarżył się p. Bławek na to, że hr. Kielmansegg będąc prowizorycznym szefem gabinetu polecił dziekanom wydziałów uniwersyteckich zdawać relacye o politycznem zachowaniu się słuchaczów. Nadto domagał się mówca założenia czeskiego uniwersytetu w Bernie morawskiem. — Minister br. Gautsch oświadczył, że odwołał już ów okólnik hr. Kielmansegga do dziekanów, zaś co do założenia uniwersytetu w Bernie oświadczył, że najpierw trzeba wyposażyć istniejące już uniwersytety. P. Campi żądał założenia włoskiego uniwersytetu w Tryeście i zarzucał rządowi, że niesprawiedliwie traktuje ludność włoską. — P. Hauck skarżył się na zżydzenie uniwersytetu wiedeńskiego i domagał się bezwarunkowego zniesienia drugiego roku służby wojskowej dla tych jednorocznych ochotników, którzy nie złożą egzaminu oficerskiego. — Po ostatecznem przemówieniu jeneralnych mówców tudzież referenta p. Beera, przyjęto rubrykę „uniwersytety" i rozpoczęto debatę nad szkołami średniemi.

Narodowiec niemiecki p. Hoffmann-Wellenhof wykazywał, że wprawdzie suplentów jest podostatkiem, ale natomiast coraz dotkliwiej daje się uczuć brak nauczycieli ukwalifikowanych. W sprawie gimnazyum cylejskiego postawił p. Hoffmann imieniem swego stronnictwa wniosek o skreślenie pozycyi na to gimnazyum, a gdyby izba na to zgodzić się nie chciała, żąda przynajmniej przeniesienia tego gimnazyum do innego miasta.

Na tem przerwano obrady.

Do komisyi dla reformy wyborczej wybrano hr. Wojciecha Dzieduszyckiego.

P. Schneider zapytał prezesa komisyi prawniczej, co się dzieje z ustawą o sprzedażach na raty. Prezes tej komisyi p. Piniński odpowiedział, że komisya załatwiła tę ustawę jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia i że już w tych dniach przedłoży ją izbie.

Następne posiedzenie odbędzie się we czwartek. Na porządku dziennym stoi wybór członków do deputacyi, mającej w porozumieniu z węgierską deputacyą oznaczyć wysokość kwot wspólnych wydatków, a następnie ciąg dalszy debaty budżetowej.

Wiedeń 26 lutego. Wczoraj odbył się dalszy ciąg walnego zgromadzenia akcyonaryuszy teatru Raymunda. Po bardzo burzliwej debacie uchwalono 671 głoszmi przeciw 616 zatwierdzić suspencyę dyrektora p. Müller-Guttenbrunna. — Ponieważ jednak oddano wszystkiego 1271 głosów, przeto okazało się, że przewodniczący ogłaszając rezultat głosowania, podał o 16 głosów więcej, niż było w istocie oddanych. Dało to powód do nowych burzliwych scen, a nawet do bójki. Stronnicy zasuspendowanego dyrektora założyli protest przeciw temu głosowaniu i zarzucili, że jest ono nieważne.

Konstantynopol 26 lutego. Nelidow wręczył sułtanowi podarunek cara, dwie wazy jaspisowe metrowej wysokości, tudzież własnoręczne pismo cara.

Ze względu na to, że umysły coraz bardziej się uspakajają, rozpuszcza Porta wciąż powołanych pod broń żołnierzy. Obecnie jest zmobilizowanych tylko 56 batalionów i to ze zredukowanym stanem żołnierzy.

Pogłoski o nowych rzeziach są fałszywe.

Lawina śnieżna zniszczyła całą wieś w wilajecie Trebizondy. Sto osób zginęło, a wiele jest rannych.

Towary przybywające z Aleksandryi poddano z powodu cholery pięcio-dniowej, a z innych portów wybrzeża egipskiego dwu-dniowej kwarantanie.

Sofia 26 lutego. *Agence Balcanique* donosi, że Carykow odjeżdża jutro do Petersburga zasięgnąć informacyi co do urządzenia rosyjskiej służby konsularnej w Bułgaryi. Konsulat utworzony zostanie w Filipopolu, a w Burgasie, Ruszczuku i Widdyniu, rezydować będą ajenci konsularni.

Ze względu na wielki post nie będzie dziś żadnego obchodu urodzin cara.

Peszt 26 lutego. Na wczorajszem posiedzeniu Sejmu oświadczył minister handlu, że nie zgadza się na wniosek skrajnej lewicy, ażeby zerwano zupełnie rokowania ugodowe z Austryą, gdyż wniosek taki sprzeciwia się ustawom, a prawo Węgier do samoistnego postępowania w sprawach handlowych wchodzi w życie dopiero wtedy, gdy rokowania się rozbiją. Co się zaś tyczy wniosku hr. Apponyi'ego, to opiera się on wprawdzie na ustawach, ale jest zbyteczny, gdyż rząd sam wie dobrze o tem, do jakich granic może pójść w rokowaniach ugodowych i jakie mogą być ich konsekwencye i bez żadnego wyraźnego polecenia wszystko już uczynił i nadal czynić będzie celem zawarowania interesów węgierskich. Uchwała zaś austryackiej Rady państwa z 15 lutego, wzywająca rząd przedlitawski, aby zmienił sojusz handlowo-celny z Węgrami w tym kierunku, iżby interesa Austryi znalazły należyte uwzględnienie, nie może absolutnie w niczem wpłynąć na postępowanie rządu węgierskiego. (Oklaski).

Bruksela 26 lutego. Dziennik *Soir* donosi, że prezes gabinetu de Burlet z powodu wrzekomo nadwątlonego zdrowia podał się do dymisyi i że jego ustąpienie wywoła zupełną rekonstrukcyę gabinetu. Mówią o tem, że na czele nowego gabinetu stanie były minister sprawiedliwości Delantsheere.

Lublana 26 lutego. Przy wczorajszym wyborze uzupełniającym posła do Rady państwa z miast środkowej i górnej Krainy wybrano radykalnego Słoweńca Koblara. W mniejszości pozostał konserwatywny Słoweniec Jelovsek.

Mentone 26 lutego. Carewicz rosyjski złożył wczoraj Cesarzowi austryackiemu półgodzinną wizytę, a Cesarz rewizytował go po południu.

Paryż 26 lutego. Wybrana przez izbę deputowanych komisya budżetowa składa się w swej większości z przeciwników progressywnego podatku dochodowego.

Nowy York 26 lutego. Rozeszła się tu pogłoska, że wykryto sprzysiężenie, mające na celu wysadzenie w powietrze skarbca państwowego. Pogłoska ta jednak okazała się zupełnie nieprawdziwą.

Londyn 26 lutego. Jameson przybył tu wczoraj wraz z 150 oficerami swej wyprawy do Transwaalu. Stawiono ich przed sądem policyjnym w Bowstreet. Oskarżeni są oni o to, że rozpoczęli wojnę z państwem zaprzyjaźnionem z Anglią. W sali sądowej było mnóstwo publiczności, między nią wielu lordów. Publiczność powitała oskarżonych głośnemi oznakami sympatyi. Po krótkiem przesłuchaniu oskarżonych odroczono sprawę na dni 14. Wszystkich oskarżonych wypuszczono na wolną stopę za kaucyą po 2000 funtów szterlingów za każdego. Za wszystkich zatem złożono kaucyę 300.000 funtów szterlingów, czyli przeszło 3½ miliona reńskich.

Londyn 27 lutego. Do *Times*'a donoszą z Konstantynopola, że nadeszła tam już odpowiedź Salisbury'ego na prośbę Turcyi o uregulowanie stosunku między Egiptem a Turcyą. W odpowiedzi tej konstatuje Salisbury, że propozycye ambasadora tureckiego są zanadto niejasne — skutkiem czego sułtan polecił wielkiemu wezyrowi, ministrowi spraw zagranicznych i prezydentowi rady stanu wypracować konkretne propozycye.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Podziękowanie.

Dziękuję serdecznie p. Dr. Machekowi za szczęśliwe i wyborne dokonanie trudnej operacyi, któremu zawdzięczam zupełne odzyskanie wzroku.

Karolina Forrest.

Zarząd dóbr Sł. wita poświadcza kotlarzowi z Sasowa Szmelkowi Aspis, że zrobił dla tutejszej gorzelni rezerwoar żelazny 200 hek na okowitę, z którego w zupełności zadowolony jestem. Poczuwam się przeto do obowiązku polecić go każdemu kto chce mieć robotę wykonaną fachowo, uczciwie a nawet taniej i dokładniej jak fabryki zagraniczne. Gorzelnie urządza znakomicie i tanio i wszystko w zakres kotlarskiej roboty wchodzące.

W obec kolportowanej plotki, że jakieś kartki wyborcze, w których polecono wykreślanie pewnych kandydatów do Rady miejskiej, miały być moją robotą, oświadczam **stanowczo**, że nie mię załem się zupełnie do akcyi wyborczej i że podsuwanie mi podobnej rzeczy jest czczym wymysłem albo oszczerstwem, podyktowanem czyjąś złą wolą.

Edward Webersfeld.

Lwów dnia 26 lutego. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 220.— do 223.—, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 294.— do 297.—. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 387.— do 400.—. Akc. garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 203.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 250.— do 260.

Listy zastawne za 100 zł.; Banku hipot. galic. 2 proc. los. w 40 lat. 5 proc. a 10 proc. prem. 109.80 do 110.50, 4 i pół proc łos. w 50 lat. 99.8· do 100.5·. Banku kraj 4 i pół proc. los. w 51 łat. 100.50 do 101.20. Banku kraj. 4 proc. los 57 lat 97.50 do 98.20. Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I. emisya) 97.90 do 98.60 4 proc. los. w 42 i pół latach 97.·0 do 98.40, 4 proc. los. w 56 lat 97.80 do 98.50.

Wiedeń 25 lutego. Notowania wieczorne. Kredyty 380·—, węgierskie kredyty 418.—, anglobank 173·25, bankverein 146·25 unionbank 315·50, länderbank 355·50 staatsbahny 372.—, lombardy 100.—, elbethale 282.75, akcye tytoniowe 192.50 rima 245.50, alpiny 87·10, renta majowa 100.95, węg. renta złota 99,10 austr. renta koronna —.—, losy tureckie 60·90 węg. renta koronna 99·10 marki 59.01, ruble 128.25.

nie wystawiać jego portretów, gdzie wystawić się dadzą?

W szkicu o Czarnogórze daje nam autor obraz wszechstronny: dotyka i stosunków politycznych i społecznych, rzuca sylwetkę księcia Czarnogóry jako dramaturga, mówi wreszcie o stosunkach — nawiasem mówiąc, fatalnych — zamieszkujących Cetynię katolików; wogóle nie ma prawie szczegółu, któryby uszedł tak bacznemu obserwatorowi, jak autor. Z najdalszych krańców południowej Słowiańszczyzny przerzuca się na północ do łużyckich Serbów nad Sprewę.

Ze wszystkich słowiańskich plemion — wypowiadam tu czysto subjektywne zapatrywanie — dla mnie są Łużyczanie najsympatyczniejsi. Ich prace i usiłowania nad odrodzeniem poczucia i ducha narodowego, nad jego ożywieniem i spotęgowaniem, w każdym muszą budzić podziw i szacunek, a zarazem nadzieję, że przyniosą plon bogaty i obfity, i w tej myśli powtarzamy za nimi pieśń, co i nutę i myśl od nas zapożyczyła:

Jeszcze Serbia nie zginęła,
W nas swą tarczę ma;
Temu, co w nas przemoc zgięła,
Nowy duch sił da.
Bóg jest z nami, wiedzie nas...
Więc, choć wróg się sroży wszędzie,
Lecz nadejdzie kiedyś czas,
Gdy Serb wolnym będzie.

Bo te usiłowania bezowocowne być nie mogą, i

Dopóty Serbia losom złym
Nie może uledz, póki tu
Łużyckie matki śpiewem swym
Kołyszą dziatki swe do snu...

— — — — — — — —
— — — — — — — —

Kończąc pobieżny szkic o tak wybitnej pracy, nie można go zamknąć, nie rzuciwszy pytania, jaki jest jej cel, jaka myśl przewodnia. Przed kilku tygodniami, pisząc w *Przeglądzie polskim* o wystawie etnograficznej w Pradze, wspomniałem, iż, patrząc na wspaniały postęp Czechów na wszystkich prawie polach kultury, przypominałem sobie zawsze „Baśń zimową" Szekspira i przyznać musiałem, że tak samo, jak genialny Anglik niewiele wiedział o Czechach, lokując ich nad morzem, w kraju pełnym dzikiego zwierza: tak samo i my niewiele wiemy o postępie intelektualnym tego narodu, nie starając się wcale go poznać. Znowu mi się przypomniała „Baśń zimowa", gdym przeczytał książkę ks. Badeniego, znowu nasunęła mi się ta sama myśl, z tą tylko różnicą, że wyznania naszej ignorancyi nie mogę ograniczyć li tylko na Czechy, ale rozszerzyć je muszę na wszystkie prawie mniej i więcej odległe od nas narody słowiańskie.

Otóż nie wdając się wcale w bliższe wykazywanie potrzeby i znaczenia zaznajamiania się z rozwojem i postępem innych narodów i plemion słowiańskich, dalekiego od wszelkich panslawiznów i sławianofilizmów, podnieść musimy, że praca ks. Badeniego jest znakomitym przyczynkiem do poznania obecnego stanu zwiedzonych przezeń plemion. Dając nietylko opis wrażeń podróżnych, lecz dotykając wszelkich żywotnych kwestyi politycznych, narodowościowych i społecznych, ks. Badeni daje nam obraz na podstawie nie pierwszych przelotnych wrażeń, lecz oparty na bystrem i dokładnem badaniu zupełnie objektywnego obserwatora.

Nie myślę wcale podnosić literackich zalet pracy ks. Badeniego, ale usprawiedliwić się muszę, dlaczego streściłem ją tak pobieżnie. Szkice te są tak piękne, tak znakomicie napisane, że streścić się nie dadzą. I tak zapożyczyłem się sporo u autora, przepisując całe ustępy z pracy jego; nie wiedzieć które właściwie ustępy przytoczyć należy; zwracając uwagę czytelnika na jeden szczegół, musielibyśmy opuścić inne niemniej ważne. Dlatego też ograniczam się do powyższej wzmianki, uważając ją nie za sprawozdanie, za recenzyę, lecz za zwrócenie uwagi na tak wybitne dzieło literackie.

Adolf Strzelecki.

3)
STARGANE ŻYCIE

POWIEŚĆ

przez

W. HEIMBURGA.

(Ciąg dalszy).

W dzień Wigilii wysłano Janka na ślizgawkę, aby nie zobaczył angielskiego wierzchowca, który tylko co przyszedł z Londynu i przeznaczony był dla niego na gwiazdkę. Ponieważ kilka godzin jeszcze brakowało do obiadu, więc panna Klementyna namówiła wszystkich do przechadzki na pokryte śniegiem łąki. Ja zostałem, gdyż baronowa prosiła, abym ubierał choinkę. Patrzyłem na nich przez okno, a panna Klementyna odwróciła się do mnie i oświadczyła, że poszuka Janka. Wówczas była to jeszcze ładna osoba, pełna wdzięku i dobroci. Mówiono, że żywi w sercu nieszczęśliwą miłość. W młodości zakochała się w profesorze z obserwatoryum astronomicznego, ale dumny Joachim von Kronen nie chciał słyszeć o takiem małżeństwie. Panna Klementyna uległa woli brata, lecz za kogo innego za mąż iść nie chciała.

Profesor umilkł i przez kilka chwil siedział nieruchomy, jakby zatopiony w bolesnych wspomnieniach.

— Janek ślizgał się właśnie na zamarzniętym potoku. Panna Klementyna chciała mu się przyjrzeć i weszła na lód, który się nagle pod nią załamał. Krzyknęła i straciła przytomność. Kiedy otworzyła oczy, dowiedziała się, że Janek ją uratował, sam jednak utonął...

Blizko lat pięćdziesiąt żyję na świecie, moi panowie, biłem się pod Sadową i pod Sedanem, ale czegoś podobnego nigdy jeszcze nie widziałem. Choćbym żył lat sto, nie zapomnę rozpaczy barona Joachima. Śmiał się, jak obłąkany i bił głową o mur, a potem siedział skamieniały i nie słyszał, co do niego mówiono. A matka?... Niepodobna opisać jej rozpaczy.

Dlatego w Beetzen panuje wieczny smutek i żałoba, dlatego nikt tam nie bywa, dlatego Zofia von Kronen wiedzie w starym dworze żywot pustelniczy, dlatego baron Joachim zdziwaczał i w trunku szuka zapomnienia, dlatego żona jego chodzi jak cień i nie uśmiecha się nigdy, dlatego słońce przestało tam świecić.

— Cóż się stało z panną Klementyną? — zagadnął Henryk.

— Tego samego dnia została sparaliżowana.

— Skądże się tam wzięła panna Zofia?

— Matka ją odumarła niemowlęciem, ojciec zaś przywiózł małą Zosię do Beetzen w nadziei, że będzie ona pociechą dla baronowej. Nie zbywa jej tam na niczem, ale serca jej nie dali. Biedactwo więdnie i usycha w tym ponurym domu, gdzie nikt się nie śmieje. Moje dziewczęta są ubogie w porównaniu z bogatą dziedziczką Beetzen, nie chciałyby jednak znajdować się na jej miejscu.

Henryk von Perthien zamyślił się. A gdyby tak wyswobodzić zaklętą księżniczkę?

— Muszę tam jeszcze zajrzeć! — rzekł wreszcie.

— Nie trudź się pan daremnie — odpowiedział profesor — drugi raz cię tam nie przyjmą.

— Zobaczymy!

Wracając do domu, młodzieniec układał plany na przyszłość: Beetzen, to piękny majątek, a Zofia von Kronen jest śliczna. Musi zdobyć pannę i majątek. Tożby się ucieszył ojciec, któremu syn-hulaka zatruł niejedną chwilę życia! Wierzycieli zaspokoiłby i mógłby żyć, jak przystało na młodego szlachcica.

Profesor miał słuszność. Kiedy Henryk pojechał powtórnie, nie przyjęto go w Beetzen. Baronowa oświadczyła, że widok ładnego chłopca przypomina jej poniesioną stratę, a Joachim von Kronen nie chce jej się w niczem sprzeciwiać. On sam chodzi posępny, jak noc, i do nikogo się nie odzywa. Nic dziwnego, Boże Narodzenie się zbliża, a ta smutna rocznica zawsze rozkrwawia niezagojoną ranę.

Przez kilka dni po wizycie Henryka von Perthien, Dzidzia miała rumieńce i błyszczące oczy; usłyszawszy jednak, że stryj zabronił przyjmowania gości, zamilkła i posmutniała. Magda to zauważyła i z właściwą sobie gadatliwością zwierzyła się ze swoich spostrzeżeń pannie Klementynie:

— Kto wie, czy ten pustak nie wpadł w oko pannie Dzidzi — mówiła, przysuwając stoliczek do krzesła kaleki — cóżby to było dziwnego? Niebożątko nikogo nie widuje, nie potrafi więc odróżnić szychu od złota.

Jest dopiero trzecia godzina, już się ściemnia. Tumany mgły wilgotnej podnoszą się z ziemi i zasłaniają świat cały; niebo jest jednostajnie szare, drzewa w parku czarne i z liści ogołocone. W okrągłej komnatce wieżowej łatwo zapomnieć, że już nadciągnęła smutna jesień. Na marmurowym kominku ogień trzaska wesoło, a wtóruje mu stłumiony szum wody, gotującej się w srebrnej maszynce do kawy. W ozdobnych doniczkach zielenią się palmy, a w szklanym kielichu jaśnieją róże, roznosząc lubą woń dokoła. Przysłał je baron Joachim. On zawsze pamięta o kwiatach dla siostry i stara się, ażeby jej na niczem nie zbywało. Panna Klementyna ma najdroższe dzieła astronomiczne, najlepszy fotel amerykański, najpiękniejsze róże, brata jednak widuje tylko raz na rok, w dzień św. Sylwestra. Wchodzi on z hałasem do jej pokoju i mówi szorstko:

— Jak się masz? Życzę ci polepszenia. Nie potrzebujesz czego?

Ona ściska mu rękę i spogląda z litością w zmienione jego oblicze.

— Niczego nie potrzebuję, Joachimie! Dziękuję ci, że o mnie pamiętasz.

Pan Joachim odchodzi, sapiąc i przez resztę dnia jest chory, a panna Klementyna nie czuje się dobrze.

— Czy mówiłaś, Magdo, pannie Zofii, aby do mnie przyszła na kawę? — zapytuje kaleka, wysłuchawszy opowiadania swej powiernicy.

— Mówiłam, proszę pani.

W tej chwili weszła sama Dzidzia.

— Jestem, ciociu przepraszam za spóźnienie, ale pisałam list do ojca.

— Cóżeś dziś więcej robiła, koteczko? — pyta kaleka, gładząc jej bujne włosy.

— To, co zawsze, ciociu! Grałam, pomagałam ciotce Annie w szyciu koszulek dla małych Murzynów, pościerałam kurze. Stryjenka zawołała mię do kuchni, ażebym spróbowała pasztetu ze zwierzyny. Przy obiedzie stryj posprzeczał się z ciotką Anną i powiedział, że powinnaby więcej dbać o dzieci wiejskie, niż o dzikich z Afryki. Potem przyniesiono mi z poczty dwa listy: jeden od ojca, drugi od Lizi...

Usta Dzidzi zadrżały; z trudnością wstrzymywała się od płaczu.

— Cóż pisze ojciec?

— Jest zdrów — odpowiada dziewczę, połykając łzy — ale, wyobraź sobie, ciociu, nie chce, ażebym przyjechała do niego na święta. Dodaje, że stryjen a powód później mi wyjawi.

— Nie martw się, dziecinko moja, co się odwlecze, to nie ucieczе... A jakież masz wiadomości od twojej przyjaciółki, Lizi?

Smutna twarzyczka Dzidzi nie rozpogadza się.

— Co powiesz na to, ciociu, że Lizia jest zaręczona? Pisze, że jest bardzo, bardzo szczęśliwa. Zakochał się w niej narzeczony dlatego, że ona tak pięknie maluje. Ach, jak to przyjemnie mieć talent! Czemuż ja nie mam żadnego!

— Wielka rzecz! — wtrąca Magda, nalewając kawę. — Gdyby tylko panienka chciała, toby mogła jeszcze ładniej malować. Albo to co trudnego.

Dzidzia uśmiecha się, ale oczy jej są załzawione i usta drgają tłumionym bólem.

— Możebyś mi co przeczytała, kochanko? — mówi panna Klementyna, chcąc zwrócić myśl dziewczęcia w innym kierunku. — Patrz, tu leży Faust.

Dzidzia zaczyna czytać, ale w tem rzuca książkę i wybucha płaczem.

— Dzidziu, Zosieńko, co tobie, moja najmilsza? — woła strwożona panna Klementyna.

— Daruj, cioteczko, ale nie mogę zapanować nad sobą... Czuję się tak nieszczęśliwą!... Nie gniewaj się na mnie. Przejdę się trochę, to mię uspokoi.

Chwyciła szal leżący na krześle i łkając, wybiegła do parku. Wszędzie cicho i spokojnie, tylko w jej sercu wre burza. Ściemnia się już, ale w posępnym dworze ani jedno nie błyska światełko. Wszyscy siedzą w mroku, ażeby ukryć lepiej łzy i boleść. Stryjenka wsunęła się w kącik sofy, stryj chodzi wielkiemi krokami po pokoju, żadne z nich nie śmie przerwać milczenia. Zdaje się, że między nimi stoi cień topielca i przemawia:

— Jak wy możecie żyć bezemnie? Cóż wam zostało na świecie? Nic, bo ja byłem dla was wszystkiem. Ta obca dziewczyna, którą wzięliście do siebie, nie zastąpi wam jedynaka. Ona tu nic nie znaczy, bo ja wyłącznie posiadam wasze myśli i serca.

Dzidzia zaciska ręce w bezsilnej rozpaczy. Nawet nieboszczyka kochają, tylko jej nikt nie kocha i nikt o nią nie dba, ani ojciec, ani przyjaciółka rozmiłowana w narzeczonym ani stryjostwo, oddani tylko żałobie. A ciotka Klementyna? Ona lituje się nad nią i lubi ją trochę, ale to dla Dzidzi za mało.

(Ciąg dalszy nastąpi).

L. 828/95.
pr.

Ogłoszenie konkursu

Prezydyum magistratu król. stoł. miasta Lwowa rozpisuje niniejszem konkurs:

1) na jedną posadę inżyniera miej. Urzędu budowniczego z płacą roczną 1.400 złr. dodatkiem kwaterowym 360 złr. i prawem do dwóch pięcioleci po 200 złr.

2) na jedną posadę adjunkta z płacą 1.100 złr., kwaterowem 300 złr. i dwoma pięcioleciami po 100 złr.

3) na jedną posadę asystenta z płacą 900 złr. kwaterowem 240 złr. i dwoma pięcioleciami po 50 złr.

4) na dwie posady elewów technicznych z adjutum rocznem 600 złr. w. a.

Kandydaci winni wnieść podania najdalej do dnia 15 marca b. r. i przedłożyć dowody ukończenia studyów technicznych na instytutach politechnicznych w Austryi lub w innym różnorzędnym zakładzie naukowym zagranicą, dalej świadectwa z przepisanych egzaminów państwowych, wreszcie wykazać, że 40 roku życia nie przekroczyli.

W szczególności kandydaci na posadę inżyniera winni wykazać się ukończonemi studyami w dziale inżynieryi, tudzież dłuższą praktyką w robotach około kanalizacyi miast lub budowy wodociągów.

O posadę adjunkta mogą się ubiegać także geometry, posiadający dłuższą praktykę w robieniu pomiarów, niwelowaniu i tachymetrowaniu.

Kandydaci na posadę asystenta winni mieć ukończone studya na politechnice w dziale budownictwa lądowego i dwa egzamina państwowe.

Wreszcie o posadę elewów mogą się ubiegać ukończeni techniey (oddziału inżynieryi lub architektury), mający przynajmniej pierwszy egzamin państwowy.

We Lwowie dnia 15 lutego 1896.

Wykaz firm kontrolowanych.

przez krajową Stacyę doświadczalną botaniczno-rolniczą w Dublanach

Krajowa kultura nasion Barowna J. Bu[illegible]ewicza w Bochni. Handel nasion Edmunda Mauthnera w Budapeszcie. Galicyjskie akcyjne Towarzystwo h[illegible]nd[illegible]owe we Lwowie. Bank rolniczy we Lwowie.

Wyżej wymienione firmy handlowe i hodowcy nasion zawarli na przeciąg roku 1896 ze Stacyą doświadczalną botaniczno rolniczą w Dublanach umowę, mocą której zobowiązali się:

1) Poddać wszystkie sprzedawane nasiona rolnicze i leśne ocenie Stacyi.

2) zapewnić kupującym przez wręczenie listu gwarancyjnego (na blankiecie su temu przez Stacyę wydanym, prawdziwość, pochodzenie, czystość nasienia, siłę kiełkowania, brak kanianki (zarazy) lub jej ilość w jednym kilo towaru.

3) odszkodować kupujących w razie pokazania się różnicy pomiędzy wartością gwarantowaną a rzeczywistą towaru.

Listy gwarancyjne upoważniają kupujących przynajmniej za 100 koron tego samego towaru, zbóż zaś za 250 koron, do powtórnej oceny w Stacyi botaniczno-rolniczej w Dublanach na koszt firmy kontrolowanej, kupujących zaś za mniejsze kwoty do 50 pr. zniżki taryfy stacyjnej.

Bliższe szczegóły dotyczące warunków umowy, rodzaju gwarancyi i odszkodowania uwidocznione są na odwrotnej stronie listu gwarancyjnego.

Niektóre z firm wyżej wymienionych sprzedają nasiona w nieszytych workach, zaopatrzonych w plombę i świadectwo Stacyi.

Dublany 25 lutego 1896 r.

Dr. Ignacy Szyszyłowicz
kierownik Stacyi.

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Moslowski. Papier z fabryki Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zadządca W. Hodak.